Nr. 50. Warszawa, dnia 29 Listopada (11 Grudnia) 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale ukończymy wychodzące jako dodatek bezpłatny dzieło Dallemagne'a „Człowiek zwyrodniały.“ Ażeby nowym abonentom ułatwić nabycie jego początku, zniżamy cenę pierwszych zeszytów tego dzieła z 2 rs. 10 kop. na 1 rs. Nadto pragnącym posiadać książkowe dodatki z lat poprzednich oraz wydawnictwa nasze, redukujemy ich cenę do 15 stycznia 1898 r. dla prenumeratorów **Prawdy** *podług poniższego wykazu:*

L. H. Morgan: Społeczeństwo pierwotne, 1 rs. 50 k. (zamiast 3 rs.).
K. Lewald: Historya XIX w., 1 rs. 65 k. (zamiast 3 rs. 30 k.).
R. Falckenberg: Historya filozofii nowożytnej, 1 rs. 20 k. (zam. 2 rs. 40 k.).
Huxley - Rosenthal: Zasady fizyologii, 1 rs. (zamiast 2 rs.).
H. Posnett: Literatura porównawcza, 1 rs. (zamiast 2 rs.).
L. Wolberg: Psychologia dziecka, 1 rs. (zamiast 2 rs.).
Encyklopedya dla dzieci, 75 k. (zamiast 1 rs. 50 k.).
Na koszta przesyłki dołączyć należy do każdego rubla 15 kop.

POLITYKA.

MUZYKA PRZYSZŁOŚCI.

Fanatyzm, wyglądający na religijny, a rzeczywiście rasowy, na początku jesieni roku bieżącego popchnął motłoch chiński do splądrowania i spalenia domu misyi niemieckiej i zabicia dwu misyonarzy. Wypadek stał się w prowincyi Szan-tung, najdalej ku północy wysuniętej na tem wspaniałem pomorzu, któremu od południa Tonkin dopiero drogę zagradza. Miejscowość spełnionego gwałtu leży gdzieś niedaleko zatoki Kiau-czan, przeciętej przez 36-ty równoleżnik, na wprost Korei nad morzem Żółtem zewnętrznem. Zatoka ma kształt kolisty, u wejścia bardzo dobre zwężenie przez wyskoki lądowe, tamujące fale, jakby wały, tamy i plaże przez samą naturę zbudowane. Raz dostawszy się do środka, można już drwić sobie z burz, a korzystając z zacisza, urządzić dogodną przystań, w przystani doki, składy, warsztaty, arsenały — wreszcie misye niewystawione już na nóż i głownię chińską.

Zatoka jest tak podatną na stacyę, na większy nawet port, że sam tylko polityczny apetyt na nią, bez narodowej żądzy odwetu wystarczyłby do zajęcia wewnętrznego terytoryum chińskiego przez okręty niemieckie. Dokonano tego przed dwoma tygodniami siłą, jaką Niemcy na wschodnich wodach Chin na razie rozporządzać mogli. Zajęcie takie przecież nie wystarczyło. Sam cesarz Wilhelm pochwycił w swe ręce ster, organizujący formalną wyprawę morską.

Jedne okręty wojenne ze statkami transportowemi już odpłynęły; inne gotowe są już do odpłynięcia, inne wreszcie gotowości tej w krótkim czasie nabędą. Gdy się zsumuje pojedyncze pozycye, podawane przez dzienniki, otrzyma się jakie cztery tysiące ludzi, prócz załóg normalnych, co na początek jest już liczbą poważną. Wszystkich rezerwowych i urlopowanych marynarzy powołano do służby; zaniosło się na wielką w żargonie dziennikarskim „akcyę.“ Niemcy potrzebują gwałtownie składu węgli dla swych okrętów na owych wodach chińskich, a jako wielkie mocarstwo wyładowują swą energię na chiński ląd. Przyczepili się już do pomorza wschodniego Anglicy i Portugalczycy od południa, dlaczegoby przyczepić się do niego nie mogli Niemcy od północy?

Chińczycy, obyczajem swoim, na widok wylądowujących Niemców, uciekli. To zachęca do działania. W Tsung-li-Jamenie pekińskim nie brakło pewno w pierwszej chwili odgróżek i przekleństw, ale armata europejska ma dar perswazyi tak przekonywającej, że niedołężny płaz, ledwo wlokący się po ziemi potwór, jakim jest mocarstwo chińskie, nie potrzebuje nawet głosu jej usłyszeć, aby argumentom jej uledz. Ucieczkę jedyną rząd chiński znaleźć może tylko w dyplomacyi europejskiej. W sprawie też obecnej już ją znalazł. Ani Rosya, ani Anglia, ani Francya wreszcie nie może sprzyjać przedsięwzięciu niemieckiemu. Nie jest też i dla Japonii obojętnem utrwalenie się władztwa niemieckiego, choćby na najmniejszym wycinku pomorza chińskiego. O tem wszystkiem mówi rozsądek; ale co innego mówią telegramy i wiadomości dziennikarskie. Oto Chiny oddają Niemcom dobrowolnie zatokę Kiau-Czan (Kiao-tse) w „wieczystą dzierżawę“ — czyli na własność wieczystą. Gdyby się na tem rzeczywiście skończyć miało, trzebaby powiedzieć, że dyplomacya europejska zamiast poprzeć Chiny przeciwko Niemcom, poparła Niemcy przeciwko Chinom, a taki przewrót w przewodnich zasadach polityki europejskiej rozsądnie wytłoma-

czyć-by się dał tylko nowym zupełnie programem, wykluwającym się już dla dalekiego Wschodu.

Jeden z dzienników francuskich z powodu zatargu niemiecko-chińskiego rzucił hasło: rozbiór Chin. Rzeczywiście, czy i w gabinetach już nie zaczyna świtać myśl, że kolos chiński, opasywany z wszech stron od lądu żelaznym pierścieniem europejskim, od morza sam bezsilny a tamujący tylko rozwój handlu wszechświatowego i powstrzymujący tak zwaną cywilizacyjną energię — nie mógłby stać się w niedalekiej już przyszłości dla Europy drugą Afryką? Jeżeli się go zostawi własnemu losowi, to czyż jednostronne korzyści, zyskiwane na niemocy, nie naruszą równowagi, nie skrzywdzą tych, którzy w danym wypadku nic będą mieli nic do wzięcia? Czy nie lepiej z góry porozumieć się i podzielić? Nie trzeba odrazu leźć w głąb: wystarczy usadowienie się na pomorzach a powykrawanie sobie tylko sfer interesów w trzonie wielkiego lądu. Odcięci od morza ulegliby prędzej cywilizacyi; z siły, jaką jeszcze są, zamieniliby się na materyę państw kolonialnych europejskich. Dzieje świata aryjskiego zyskałyby nowy potężny rozpęd, nowy wielki widnokrąg.. Niejedna głowa polityczna marzenie takie snuć musi. Muzyka przyszłości, zapewne — ale ją przyszłość usłyszy. Już teraz na pretensye niemieckie odpowiedziała Francya żądaniem nowych granic od Tonkinu. Gdy się już apetyt we wszystkich wyrobi, nie zbraknie strawy, stołu i zastawy — i rozpocznie się biesiada.

Tydzień polityczny. Nowy gabinet austryacki ma urzędową datę 30 listopada; tego dnia złożył przysięgę. Z wyjątkiem prezesa Gautscha i Welsersheimba w skład jego wchodzą sami urzędnicy: dwu wyższych i czterech szefów sekcyi, specyalistów administracyjnych. Nazwisk ich wymieniać nie warto. Położenie polityczne pogorszyło się: układy Gautscha z lewicą i z prawicą porozbijały się o opór. Lewica wydaje manifest krzywd swoich; prawica obstaje przy swych prawach: dwa bieguny, między nimi przepaść. Izby deputowanych niema, a gdyby nawet była, ugoda-by przez nią nie przeszła. Władza wykonawcza musi sama radzić. Węgrzy wnieśli już jednostronne prawo, zostawiające Przedlitawii czas do maja na ostateczne rozwiązanie; Kossuth grozi obstrukcyą i wybiciem się z pod Austryi. W Czechach dzień 1 grudnia wprowadził do Pragi zupełną anarchię. Ogłoszono sprawiedliwość doraźną, wszakże cywilną (*Standrecht*). Liczbę ofiar z obu stron podają na 300; 600 pociągnięto przed sąd Kat przyjechał; ale dotychczas jeszcze nie miał nic do roboty. Skończy się chyba na strachu. Nienawiść narodowa czynnie występuje na prowincyi, dosięga do Moraw. Jubileuszowy rok Franciszka Józefa zaczyna się okropnie.

Cesarz Wilhelm dopomina się zadośćuczynienia od Chin: 600,000 taelów, zwrotu kosztów wyprawy, ukarania urzędników, stracenia morderców i burzycieli, odbudowania misyi, wzniesienia katedry, monopolu w budowie dróg żelaznych—do Rzeki Żółtej, wreszcie — stacyi węglowej. Od rzeczypospolitej Haiti zażądał cesarz wynagrodzenia Lüdersa w ciągu 8 godzin; jeżeli nie, to zbombarduje Port-au-prince. — W domu niedobrze. Centrum i Richter odpychają siedmiolecie morskie, które pochłonąć ma w całości 482 mil. marek. Socyaliści — jest ich 47 — nie chcą słyszeć o żadnych pomnożeniach: większość nieprzyjazna pewna. Centrum dałoby się przekupić, ale tylko jezuitami.

Pokój między Turcyą a Grecyą nareszcie d. 4 go grudnia podpisany w Konstantynopolu.

We Francyi rząd dostał d. 6 b. m. w sprawie Dreyfusa ogromne *votum zaufania* od Izby. Zdaje się, że cała ta drajfusiada była robotą *Figara*: Scheurer-Kestner dał się złapać. Esterhazy pod sądem wojennym.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYDZIAŁY ROLNICZE.

Podobno w główniejszych uniwersytetach postanowiono utworzyć sześć katedr rolnictwa: trzy z dziedziny nauki o glebie i tyleż z zakresu bakteryologicznego. Nadto, ma powstać na wzór istniejącego już geologicznego, instytut państwowy do rozpoznawania gleby. Komisya specyalna przy ministeryum oświaty, złożona z profesorów uniwersytetu, ma opracować materyał w tej sprawie, który przedstawiony będzie Radzie państwa. Uniwersytet warszawski, pomimo że należy do *główniejszych*, że jest w kraju, posiadającym wysoką kulturę rolną, jakoby nieprzychylne wypowiedział zdanie co do katedry agronomicznej u siebie. Nie znamy powodów właściwych takiej opinii, więc przypuszczać możemy, że tylko projekt politechniki w naszem mieście poważnie usprawiedliwiałby taką odmowę. Królestwo Polskie, pomimo wysokiego rozwoju rolnictwa, pomimo z dniem każdym wzrastającej potrzeby fachowców należycie uzdolnionych, dotąd właściwie nie posiada żadnego zakładu naukowego, któryby odpowiadał choć w drobnej cząstce potrzebom naszym w tej mierze. Szkoła sobieszyńska, że tak powiemy, dotychczas jeszcze sposobem próby wytwarza drobną gromadkę do obsłużenia niższych posad oficyalistów wiejskich. Instytut rolniczo-leśny w Nowej Aleksandryi mało uwzględnia potrzeby Królestwa Polskiego. Pozostają tedy zakłady zagraniczne i niektóre w Cesarstwie. Ale i to nie zaspakaja naszych potrzeb.

Według wyświetlenia p. Zygmunta Kotarskiego w *Gazecie Rolniczej*, liczba kształcących się dziś w kraju Polaków spadła do 10—20% *) ogółu studentów. Liczba rodaków naszych na wydziałach rolnych politechniki ryskiej i akademii Piotrowsko-Razumowskiej w Moskwie, nie przewyższa 10—15% na wszystkich kursach. Szukający wiedzy rolnej za granicą, są to w większości wypadków ludzie zamożni, którzy na ogół stanowią procent bardzo mały. Pomimo tak wielkich braków, pomimo luk, dotkliwych w tej mierze, rolnicy nasi dotychczas z własnych pobudek nie przedsięwzięli żadnych zabiegów, nie dokonali żadnego czynu, któ-

*) Zapewne p. Kot. mówi o kształcących się w zakresie rolnym, bo przecież wogóle liczba polskiej młodzieży kształcącej się w różnych zakładach naukowych z każdym rokiem olbrzymio wzrasta.

---

31)

W. DOROSZEWICZ

SACHALIN.

Dwaj Odesianie.

Odesa dała więzieniu korsakowskiemu dwu przedstawicieli: Szaposznikowa i Wierblińskiego.

Trudno wyobrazić sobie dwie większe sprzeczności.

Wierbliński i Szaposzników — to dwa bieguny katorgi.

Jeżeli zbierzemy wszystko, co jest w katordze najgorszego, podłego, niskiego, jeżeli pozwolimy, ażeby to się odstało i następnie weźmiemy osad, wyciśniemy go, będzie to kwintesencya katorgi — Wierbliński.

Poznałem się z nim na odwachu, gdzie trzymano go skutkiem podejrzenia o zabójstwo dwu Japończyków w celach rabunku.

Wierbliński klnie się i przysięga, że nie zabijał, że był tylko świadkiem zabójstwa. Otrzymał swoją część za milczenie. Ale sam nie zabijał.

Można mu wierzyć.

Niema czynu tak bezecnego, do którego nie byłby zdolny Wierbliński. Może zarznąć śpiącego, zabić związanego, udusić dziecko, kobietę chorą, starca niedołężnego. Ale napaść na dwu w celach rabunku — na to by się nie zdobył.

— Proszę pana — gorąco protestuje — po co mam zabijać? Przecież ja z urodzenia jestem złodziej, z urodzenia doliniarz! Proszę przejść całą Rosyę i zapytać, czy może doliniarz (kieszonkowiec) zabić człowieka? Każdy panu w oczy się roześmieje. Ja miałbym Japończyków zabijać!

Przypomniałem sobie jednego z zabójców Liwszyna, „specyalistę" Pawlopuło.

— Masz więc swoją specyalność?

— Tak. Specyalność. Czy pan był w Odesie? Zna pan adwokata X.? (tu wymienia nazwisko dość znanego na południu prawnika). Proszę go spytać. Bronił mię w r. 1882; w Elisawetgradzie u generałowej K. osiemnaście tysięcy rubli, dwa futra zybotowe, perły wziąłem. Osiemset rubli za obronę zapłaciłem. Proszę zapytać go, co to za człowiek Worbliński. On panu powie! U każdego, mogę wziąć co mi się podoba. Proszę pozwolić, ja panu zaraz wezmę z kieszeni, co zechcę, bez postrzeżenia. W Kijowie na 900-tną rocznicę chrztu Rusi u księcia K., może pan słyszał, wielką kradzież spełniono. To także moja sprawa.

W tonie jego mowy daje się słyszeć pewna chełpliwość.

— Poćóż mi tam jakichś Japończyków zabijać, ręce walać? Jak żyję, nie zawalałem ich. Gdybym zapragnął cokolwiek wziąć, zrobiłbym to bez zabójstwa. Mogę każdego, kogo tylko zechcę, wyprowadzić w pole. Tak mogę zrobić, że każdy sam mi odda. Przecież oto tutaj trzymają mię na osobności. Ale ja postanowiłem pokazać im, co Wierbliński może i pokazałem!

Oznajmił on mianowicie, że wie, gdzie są zastawione skórki sobolowe, skradzione Japończykom. Na wykupienie ich potrzeba 52 rubli i „człowieka uczciwego," przez którego można byłoby posłać pieniądze paserowi.

Dozorca osiedlenia, p. Glinka, prowadzący śledztwo w tej sprawie, uwierzył Wierblińskiemu i dał 52 ruble.

— Niech pan sam zaklei kopertę!

P. Glinka uczynił to.

Wierbliński zrobił na kopercie jakieś umówione znaki aresztanckie.

— Teraz proszę mi dać pewnego człowieka, którego można byłoby posłać, gdyż przed władzą nie mogę tego rozgłaszać.

Dano mu jakiegoś Baryata. Wierbliński pomówił z nim na osobności, dał mu

ryby doprowadził do stworzenia w kraju szkoły średniej lub wyższej, ściśle odpowiadającej ich potrzebom. Jest to także jeden z objawów niedojrzałości ekonomicznej, cechujących również inne gałęzie produkcyi naszej. Gdy za granicą każda grupa przemysłowa lub handlowa uważa za pierwszorzędny warunek zdobycie własnymi środkami odpowiednich sił fachowych, gdy tam kosztem interesowanych powstają zakłady specyalne, dające naukę tanią lub zupełnie bezpłatną, gdy wreszcie środki pomocy naukowej stanowią olbrzymią rubrykę wydatków, w rezultacie przynoszącą wielkie i widoczne zyski materyalne, u nas fundowanie szkół fachowych przez jednostki zamożne, nietylko należy do objawów rzadkich, nadzwyczajnych, ale jeszcze jest uważane za czyn filantropijny. Na takie czyny przemysł fabryczny powoli zaczyna się u nas zdobywać. Rolnicy zaś nasi, oprócz zapisu hr. Kickiego, nie ponieśli dotąd żadnych ofiar dla stworzenia jakiegokolwiek zakładu naukowego na własny użytek; co gorsza — nie poruszyli nawet tej sprawy teoretycznie w sekcyi rolnej.

Jakże fatalnie ten brak poczucia własnych potrzeb wygląda, gdy przypominamy sobie, że gdzieindziej nawet chłopi odczuwają te potrzeby, bo w instytucie moskiewskim istnieją stypendya, utworzone przez włościan gub. Orenburskiej. Smutne, ale bardzo blizkie prawdy jest przypuszczenie p. Z. Kotarskiego, że będziemy czekali, aż na roli „osiądą żywioły innego autoramentu, które zrozumieją potrzeby społeczne i będą miały dosyć poczucia obywatelskiego, ażeby w miarę sił i możności je zaspokoić.“

Wobec tych wielkich braków i potrzeb, doniosłe może mieć znaczenie wydział rolny przyszłej politechniki warszawskiej, który dotąd jednak w projektach zarysowywa się niewyraźnie i niestanowczo. Otóż na baczną uwagę zasługują bardzo ważne w tej mierze wnioski p. Zygmunta Kotarskiego. Wydział rolny przyczyniłby się stosunkowo niewiele do wzrostu kosztów, potrzebnych na stworzenie i utrzymanie całego zakładu. Czterech profesorów i sześciu docentów, zdaniem p. K., wystarczy zupełnie. Sił naukowych przyrodniczych zaczerpnąć można z uniwersytetu warszawskiego. „Postarawszy się, żeby katedry przedmiotów specyalnych (rolnictwa, zootechniki, ekonomii rolnej, leśnictwa) obsadzone były przez ludzi, którzy znają potrzeby kraju i chętnie chcieliby mu służyć, rolnicy nietylko otrzymają kilkunastu specyalistów rocznie, lecz jeszcze instytucyę naukową, która będąc w centrze kraju, może przynosić wielki dla rolnictwa pożytek. Jeżeli zaś utworzenie wydziału rolnego uważanoby za nadto kosztowne lub za zbyteczne z powodu istnienia zakładu w Nowej Aleksandryi, to utworzenie na politechnice przynajmniej wydziału tak zwanych inżenierów kultury, agronomów-techników, byłoby bardzo na miejscu i na czasie, przyniosłoby rolnictwu wielkie korzyści i prawdopodobnie nie spotkałoby żadnych przeszkód nieprzezwyciężonych.“

Wydziały takie posiadają politechniki: w Zürichu, Berlinie, Monachium, przy moskiewskim zaś instytucie rolniczym jest wydział inżenierski. Owi specyaliści wobec rozwoju techniki rolnej, istotnie są bardzo nam potrzebni. Wprawdzie mamy stosunkowo niewiele gospodarstw dużych, gdzieby na szeroką skalę stosowano różne udoskonalenia, ale ciągle się rozwija potrzeba pracy intensywnej w następujących działach: melioracye rolne, irygacya, osuszanie, regulacya rzek, eksploatacya siły wodnej, poszukiwanie ciał kopalnych, budowa maszyn rolniczych, gorzelni, młynów, tartaków, urządzanie łąk, gospodarstw torfowych i rybnych. To właśnie pola działalności inżeniera-agronoma, które dotychczas w znacznej części są zaniedbane lub niedostatecznie uprawiane z braku fachowców odpowiednich. Według obliczeń p. Kotarskiego, utworzenie wydziału rolnego na politechnice pociągnie za sobą wydatki minimalne. Studenci-rolnicy słuchać mogą wszystkich przedmiotów ogólnych i bardzo wielu specyalnych technicznych wspólnie ze studentami innych wydziałów. „Trzy nowe profesury (rolnictwo, melioracye rolne, hydrotechnika) i cztery docentury (geodezya, botanika, leśnictwo, ekonomia rolna) wystarcza w zupełności dla utworzenia na politechnice warszawskiej wydziału inżeniersko-rolniczego. Pensye profesora (3,000 rs.) i docenta (1,200 rs.) wraz z rozchodami na wycieczki studentów i przyrządy pomocnicze czynią 20,000 rs. rocznie, sumę stosunkowo tak nieznaczną, że chyba nie obarczyłaby ona ogółu interesowanych, gdyby na nich spadł obowiązek jej pokrywania.

ŻYCIE STUDENCKIE I IDEAŁY *).

II.

Dość upokorzonych i zbrudzonych dusz, dość zgiętych w pałąk charakterów, dość płazów daje nam istnienie realne, twarde warunki bytu. Doświadczanie nas nauczyło, że nawet ci, którzy się kąpali w zdroju czystych ideałów, którzy umieli wzbijać się na poziomy w okresie studyów uniwersyteckich, ulegli później miażdżącym młotom życia i bladym strachem podszyli swoje purpurowe płaszcze ideałów i cnót obywatelskich, czoła zbrudzili kurzem upokorzenia, bijąc niemi o twardą, brutalną ziemię bytu“ **). Takie smutne i bolesne przykłady, silnie tkwiące w umyśle i sercu każdego, kto kocha swoje społeczeństwo, kto się w nie wpatruje głęboko i uważnie — takie przykłady dało nam życie. Dlatego zatrwożyłem się o młodzież naszą sympatyczną, o to źródło energii i sił żywotnych społeczeństwa. Zatrwożyłem się pod wpływem przykładów, jakie nam dają szkoły wyższe specyalne i uniwersytety niemieckie, a nadto pod

*) Artykuł niniejszy piszę *jedynie* z poczucia obowiązków społecznych. Po za tem nie wpłynęły nań *żadne inne* bodźce i względy.

**) „Życie studenckie i ideały,“ nr. 48 *Prawdy*.

---

adres, wskazał, jak trzeba zastukać do drzwi, co powiedzieć.

— Patrz tylko, żebyś koperty nie zgubił!

I sam wsunął mu ją w zanadrze.

— Wychodzimy z odwachu — opowiada mi o tem p. Glinka — wzbudziła się we mnie nieufność. Otworzę, myślę sobie, kopertę. Ale nie; otworzę, to tamten się dowie i skórek nie da. Otworzyć, czy nie? Wreszcie nie mogłem wytrzymać, rozpieczętowałem i — znalazłem w kopercie papier. Wierbliński zdążył ją zamienić.

Zrewidowano go natychmiast; znaleziono 42 ruble; dziesięć przepadło, jak w wodzie.

— Za fatygę sobie zostawiłem! — zuchwale śmieje się Wierbliński — za naukę! Jak się zgapił! Co? Ja takiego figla umyślnie splatałem. Pieniądze nie były mi potrzebne, ale chciałem dowieść, że nawet w klatce, w zamknięciu na osobności, mogę ich w pole wyprowadzić. Czyż zatem mogę robić takie głupstwo — zarzynać ludzi?

— Ale przecież widziałeś, jak zarzynano?

— Tak, widziałem. Byłem stróżem w pobliżu. Wezwano mię, żebym uczestniczył, bo inaczej mógłbym donieść. Przy mnie ich zamordowano.

— Śpiących?

— Jednego, którego ciało znaleziono — śpiącego. A drugi, którego nie znaleziono (zakopany jest w tajdze), ten się przebudził. Rzucał się bardzo. Zarznięto go, gdy już nie spał.

— Dlaczegóż nie odkryłeś zabójców? Przecież sam musisz odpowiadać?

— Czy pan nie zna zwyczajów katorgi? Czy ja mogę wydać? Zabiliby mię za to.

Wierbliński pochodzi z Odesy. Chwali się, że jest kuzynem jednego z lekarzy odeskich. Nawet jego portret powiesił nad swojem łóżkiem. Ale z rozmowy odrazu poznałem, że kłamie.

W Odesie, przy ulicy Troickiej, w domu Rallego miał sklep galanteryjny.

— Dla odwrócenia uwagi, rozumie się — wyjaśnia. Jak rzekłem, jestem z zawodu kieszeniowiec. Z domów zdarzało się brać piękne pieniądze.

Nie mówi — „kraść“; „brał“ pieniądze.

— Ileż razy byłeś pod sądem?

— Dwadzieścia razy.

— Czy zawsze pod swojem nazwiskiem?

— Pod różnemi. Miałem ich mnóstwo. Tutaj, gdy mnie wzięto, dwa paszporty fałszywe znaleziono. Na wszelki wypadek — myślałem — ucieknę.

To człowiek, który wszystko przeszedł. Wszystkie turmy i areszty w Rosyi zna wybornie, jak jakiś turysta pierwszorzędne hotele Europy. I mówi o nich, jak o hotelach.

— Tam wilgotno.. Tam suszej. W charkowskiem więzieniu centralnem jedzenie niedobre, stół bardzo zły. W moskiewskiem karmią lepiej i wogóle życie znośniejsze... Tam wódka droga; tam tańsza.

Na Sachalin zesłano Wierblińskiego za ohydne przestępstwo. Przemocą zdobył to, co się zdobywa miłością.

Osądzono go w Kijowie.

— Nie powiem, żeby mi się ona bardzo podobała, ale tak sobie, niczego była!

W jego całej postaci zewnętrznej, postaci typowego, doświadczonego bywalca-rzezimieszka, w jego oczach przebiegłych, złośliwych, złodziejskich i bezwstydnych przegląda dusza nizka, podła, obydna.

Szaposznikow także pochodzi z Odesy. W r. 1887, czy 1888 był tam sądzony za udział w bandzie rabusiów. W okolicach miasta koło Wygody zarznęli kupca.

Po przybyciu na katorgę zmienił się.

Czy to widok cierpień i niedoli innych tak na niego podziałał — niewiadomo; dość, że Szaposznikow z dzikiego zbrodniarza przedzierzgnął się w żarliwego, bezinteresownego obrońcę wszystkich cierpiących i uciskanych; stał się „adwokatem katorgi...“

Jak większość skazańców po przybyciu

wrażeniem nadesłanych szczegółów o zwyczajach korporacyjnych studentów w Rydze. Obawy moje miały tem poważniejszą podstawę, że pewien procent młodzieży naszej w uniwersytetach i innych zakładach specyalnych niemieckich, przejąwszy się całkowicie zwyczajami i trybem życia burszów, przepadł dla społeczeństwa. Ponieważ słabszych nie brak nigdzie i nigdy, ponieważ poszarpane i rozchwiane charaktery bywają zarówno na ławie uniwersyteckiej, jak i na wszelkich placówkach bytu, więc o tych właśnie troskę swoją wyraziłem. Silni dadzą sobie radę w warunkach najnieprzyjaźniejszych; przejdą przez burze i męty, a nawet mogą iść za przykładem bohatera W. Hugo, niosąc w kanałach życia na swych głowach i barkach wcielone w czyn nieskazitelne cnoty i ideały, jak tamten omdlałego bojownika idei. Przejdą oni, duszą i sercem czyści, niezachwiani i bartowni. Takich na szczęście mamy sporo, między innymi i śród wychowańców politechniki ryskiej, o których wiedziałem od dawna. Ale, jak rzekłem, nie o nich mi chodziło i dlatego żalem są przesycone moje rozmyślania w artykule poprzednim. Chodziło mi o ochronę, o zabezpieczenie tych, którzy mogliby uledz niepożądanym warunkom i zwyczajom.

To też nieopisanej doznałem radości, dowiedziawszy się, że dane, zaczerpnięte z *Ritsk. Wiest.*, nie dotyczą korporacyj polskich.

Nowe szczegóły, które rzucają piękne i szerokie światło na życie i pracę naszej młodzieży, dostarczono mi w sposób dziwnie szlachetny, świadczący, że ta młodzież umie czuć i do ramienia łączyć ramię w obronie czynów i ideałów całej rzeszy. W obfitym a wielce przekonywającym materyale dano mi możność najdokładniej poznać życie przeszłe i obecne stowarzyszonych, ich zwyczaje, przepisy, zasady i właśnie tę dążność do ochrony i wzmocnienia charakterów słabszych. Dane te posłużą mi nietylko do wypogodzenia zachmurzonego poprzednio widnokręgu, lecz zarazem do uzupełnienia artykułu, zamieszczonego w nr. 48 *Prawdy*.

Przedewszystkiem zaznaczyć muszę, że korporacye ryskie istnieją na zasadzie Najwyżej zatwierdzonego aktu (*Bestätigungsacte*). Następnie jest ogólna ustawa studencka (*Allgemeiner Polytechniker Comment*), również przez władze zatwierdzona. Na mocy owych ustaw ogólnych wolno studentom tworzyć związki, które posiadają każdy swój własny statut wewnętrzny, regulujący stosunki w łonie każdej pojedynczej korporacyi lub każdego stowarzyszenia w sposób dowolny, wprost już od członków danej grupy zależny. Otóż Polacy zastosowali się ściśle do owych pierwszych dwu zasadniczych ustaw, tworząc swój statut wewnętrzny na zasadach zupełnie innych, odpowiadających wymaganiom ich potrzeb duchowych. Obie korporacye, „Arkonia“ i „Welecya,“ zdołały przyciągnąć znaczną większość Polaków (przeszło 200). Nie rozróżniają one młodych i starych członków (oprócz tego, iż zgodnie z ustawą ogólną, korporacye składają się z „koła,“ czyli zgromadzenia barwiarzy, do którego dostają się studenci młodzi, czyli „kandydaci, drogą głosowania). Koło posiada moc prawodawczą i sądową. Po za tem wszyscy członkowie na równi korzystają z korporacyi. Otóż miło mi zaznaczyć, że statutami swoimi surowo one zakazują t. z. „fuksowania“ i wymagania usług osobistych. Spełniane one są w takiej tylko formie: korporacye np. mają swoje kuchnie, w których stołuje się około sta osób. Ponieważ obiad musi być spożyty w ciągu jednej pauzy, więc pośpiech jest wymagany. Jedyny służący nie może wszystkich zaspokoić i skutkiem tego każdy z kolegów po kolei, bez różnicy wieku i urzędu korporacyjnego pełni równocześnie ze służącym obowiązki zaspakajania stołowników. Słowo „fuks“ nie istnieje w statucie. Kandydat „Arkonii“ lub „Welecyi“ karany bywa nawet, jeżeli pozwoli członkom innych korporacyj ubliżyć temu wewnętrznemu regulaminowi, czyniąc zadość odnośnym wymaganiom burszów, sprzeciwiającym się duchowi Polaka. Przeprowadzenie tego i wielu innych poglądów humanitarnych śród obyczajów istniejących nie było łatwe. Kary w stowarzyszeniach są stosowane przeważnie w formie wymówek koła lub pod postacią grzywny. Ani kar piwnych, ani *Verschiess's*ów Polacy nie uznają, co zresztą wzbronione jest i przez statuty.

Zebrania korporacyjne odbywają się w poniedziałki i soboty. W poniedziałki i pierwszą sobotę każdego miesiąca są posiedzenia „kół,“ druga i czwarta sobota poświęcona jest zebraniom naukowym, na których odczytywane są prace w rozmaitych zakresach, przez członków napisane, tudzież rozważane pytania ze skrzynki. Wreszcie trzecią sobotę wypełnia t. z. „zebranie towarzyskie,“ na którem grają i śpiewają soliści, orkiestra z członków stowarzyszenia złożona, popisują się deklamatorowie. Otóż w czasie posiedzeń kół i zebrań naukowych wzbronione jest używanie trunków; a więc na osiem posiedzeń miesięcznych tylko jedno połączone jest z piciem piwa.

Dawanie barw jest uroczystością poważną, pamiętną studentowi na całe życie. Połączone ono jest z „aktem skupienia i statecznego namysłu.“

Z niezmierną ciekawością przeczytałem wyciągi ze spraw studentów, postawionych przed sądem koła i widzę, że to, czegom tak pragnął wogóle dla młodzieży naszej, połączonej w korporacye lub mającej do czynienia ze stowarzyszeniami niemieckiemi za granicą, — to się urzeczywistnia w Rydze. Sądy te karzą wszystkich winnych, którzy się oddają pijaństwu lub wogóle nieprzyzwoitem, nietaktownem zachowaniem się zniesławiają stowarzyszenia. Również są karani za gry hazardowne. Zwykle za takie winy karą jest wykluczenie z koła, terminowe lub bezterminowe. Nad hulakami, marnotrawnymi i próżniakami rozpościerana bywa opieka tak dalece, że i rodzice lekkomyślnego muszą być czasem w nią wtajemniczeni. Opieka zazwyczaj jest złożona z kilku kolegów, którym winny pod słowem honoru musi wyznać swe długi; wszelkie zaś pieniądze, bądź otrzymane z domu, bądź zarobione, powinien składać do rąk opiekunów i bez porozumienia z nimi nie może robić żadnych wydatków. Ten nacisk moralny ma doniosłe znaczenie i pięknie świadczy o koleżeńskiem ratowaniu charakterów słabszych. Owe zabiegi sięgają jeszcze dalej: bo oto z protokółów widzimy, że stowarzyszenia rozciągają swą baczność nad wychowańcami politechniki, którzy już weszli w życie praktyczne. I tu przewinienia oraz wszelkie objawy lekkomyślności są karane wykreśleniem z listy „filistrów“ *).

Na szczególną uwagę zasługuje działalność komisyj naukowych korporacyjnych w Rydze. Członkowie stowarzyszeń muszą składać obowiązkowo tym komisyom i odczyty, z których najlepsze są wygłaszane na zebraniach naukowych. Do tej katego-

*) Filistrami nazywają się wszyscy wychowańcy, którzy wyszli z politechniki i pozostają członkami korporacyi.

---

na Sachalin, dostał „manii na punkcie sprawiedliwości.“

Nie znosił, nie mógł obojętnie patrzeć na najmniejszy objaw niesprawiedliwości. Wypowiadał swoje zdanie śmiało, stanowczo, nikim i niczem się nie krępował, nie tchórzył.

Bito go, a on nawet leżąc na kobyle, wołał:

— A jednak z tym i owym postąpiliście niedobrze! Nas na karę, nie na męczeństwo tutaj zesłano. Nas w imię sprawiedliwości zesłano, a wy postępujecie niesprawiedliwie.

— Pięć lub sześć tysięcy uderzeń w swojem życiu otrzymał. Oto, charakter — opowiadał mi inspektor.

Naraz stracił zmysły.

Zaczął mówić od rzeczy, postępować nienormalnie. Umieszczono go w szpitalu, potrzymano tam przez pewien czas i, jako „spokojnego waryata,“ wypuszczono.

Odtąd Szaposznikow uważany jest za „głuptasa“; nie karzą go, a na wszystkie postępki patrzą jako na wybryki obłąkanego.

Ale Szaposznikow wcale nie jest „głuptasem.“

Zmienił tylko taktykę.

— Na kobyłę już kłaść się nie mogę; zmęczyła.

Zrozumiał, że głową muru nie przebije, więc dalej prowadzi poprzednie dzieło, lecz innym sposobem. Jest takim samym szczerym i oddanym przyjacielem katorgi.

Jako „głuptas,“ jest wolny od roboty i musi tylko sprzątać izbę.

Ale jednak chodzi na roboty i to najcięższe.

Gdy dostrzeże, że ktoś się zmęczył, opadł z sił, nie może podołać zbyt wielkiej „lekcyi,“ Szaposznikow milcząc zbliża się, bierze siekierę i wyręcza go.

Biada jednak, jeżeli katorżnik, najczęściej nowicyusz, powie nie wiedząc:

— Dziękuję!

Szaposznikow natychmiast rzuci siekierę, splunie i ucieknie.

Nie wiadomo, czem się on żywi, gdyż swoją strawą innych obdziela.

Zawsze zanosi swój chleb skazańcowi, który przegrał własną porcyę, umierającemu z głodu „żyganowi.“

Ale biada, jeżeli i ten mu podziękuje.

Szaposznikow rzuci chleb na podłogę, plunie w twarz „za obrazę“ i pójdzie.

On żąda, ażeby jego ofiary przyjmowano w takiem milczeniu, w jakiem on je przynosi.

Przyjdzie, położy chleb i czeka, aż obdarowany zje.

Zdaje się, iż mu sprawia wielką przyjemność patrzeć, jak inny je.

Jeżeli mu się uda czasem jakoś zdobyć pieniędzy, co się zdarza bardzo rzadko, to musi koniecznie wykupić kogoś nieszczęśliwego, zupełnie obmotanego przez więziennych lichwiarzy-Tatarów.

Swoje zastępstwo w katordze, udzielanie pomocy innym Szaposznikow prowadzi w dalszym ciągu, ale już pod maską żartów i idyotyzmu.

Niby oskarża katorgę:

— No, cóż wy? — woła, gdy katorga na zapytanie władzy, „czy kto nie ma pretensyi,“ surowo i ponuro milczy. — Cóż wy milczycie, dyabli! Krzyczeli, narzekali, że jakoby bałanda*) zła, „czałdon,“ mówicie, mięso złe dają; taką bałandą tylko nogi myć, nie ludzi karmić. A teraz ucichli! Proszę im darować — zwraca się do władzy — narzekali strasznie, głośno. A teraz snadź bałandą nogi pomyli, pozaziębiali się i pochrypli. Proszę już ich nie karać za to, że milczą.

Albo taka scena:

— Czy nie ma kto pretensyj? — pyta inspektor.

— Ja mam! — woła Szaposznikow.

— Cóż takiego?

— Proszę ukarać, wielmożny panie, tych niegodziwców! — i wskazuje ka-

*) Aresztancka nazwa zupy. „Czałdon,“ przezwisko dane przez katorgę inspektorowi.

ryi prac w „Welecyi“ między innemi zaliczono: „O ideałach społecznych ludzkości“ p. E. Załęskiego, „O celowości w naturze“ L. Lewestama, „Sejm czteroletni“ tegoż, „Szkoła burżuazyjna w ekonomii społecznej“ S. Kadera, „O reformacyi w Polsce“ J. Wysockiego, „Irydyon i Konrad Wallenrod“ tegoż, „O rozwoju poddaństwa w prowincyach nadbałtyckich“ A. Wernera, „O hypnotyzmie“ M. Lutosławskiego, „O X—promieniach d-ra Roentgena“ K. Maciańskiego, „O powstawaniu istot organicznych na ziemi“ Ig. Szafira, „Dziennikarstwo polskie“ L. Garbowskiego i wiele innych.

Z większych prac członków „Arkonii“ również dla charakterystyki tej pożytecznej ich działalności uważam za stosowne zaznaczyć tutaj: „O konieczności szerzenia nauk społecznych w ogólności, a ekonomicznych w szczególności“ A. Rossela, „O sprawie interwencyi państwowej w układaniu taryf kolejowych w Rosyi“ tegoż, „Dramaty Władysława Okonskiego“ przez Br. Brzozowskiego, „Ostroróg i jego traktat o naprawie Rzeczypospolitej“ Jul. Ciemniewskiego, „Kilka słów o Reju“ Wł. Koziełły, „O pojęciu siły w nowoczesnej mechanice“ Alfonsa Lowenberga, „O narkotykach i ich wpływie na organizm ludzki i zwierzęcy“ Michała Narewskiego, „Postać Bolesława Chrobrego na tle historycznem“ Kaz. Kraczkiewicza, kilka prac literackich Wal. Gostomskiego, „O sposobach spajania metalów za pomocą elektryczności“ Wacława Leinerta i wiele innych z zakresu literatury, historyi i różnych dziedzin specyalnych.

Uzupełnieniem tych potrzeb umysłowych są księgozbiory obu korporacyj. Biblioteka „Welecyi“ posiada 2,414 dzieł (3,216 tomów), „Arkonii“ — 6,167 tomów.

O pomocy solidarnej młodzieży naszej w stowarzyszeniach ryskich bardzo pięknie świadczą kasy stypendyalne, rozwijające się pomyślnie. Udzielają one stypendya, pożyczki na wpis i życie kolegom niezamożnym, wreszcie przeznaczają pewną sumę na obiady bezpłatne (w „Welecyi“ korzysta z nich 15% członków stowarzyszenia).

Taka solidarność społeczna wypielęgnowana podczas studyów, wytwarza łącznik z wychowańcami politechniki, którzy już się zetknęli z życiem realnem. Znalazłem np. fakty pomocy, ofiarowywanej przez korporacye filistrom, pozostającym w ciężkich warunkach istnienia. Młodzież kształcąca się wespół z tymi, którzy już rozbiegli się po świecie, ogarnia szersze potrzeby społeczne, o czem świadczą np. takie czyny, jak składki na pomnik Adama Mickiewicza w Krakowie, które wynosiły znaczną część sumy ogólnej, a następnie na pomnik w Warszawie około 2,000 rubli. Wydanie kosztem 5,000 rs. „Młynarstwa“ Małyszczyckiego, dzieła wielkiej wartości, o którem pisaliśmy niegdyś w *Prawdzie*, zakładanie kółek rolniczo-spożywczych, zorganizowanie obecnych odczytów przyrodniczych w Warszawie itd. Wreszcie do objawów pocieszających dorzucić muszę to, że Polacy, wychowańcy politechniki ryskiej, bardzo chętnie są poszukiwani, jako pracownicy zdolni, produkcyjni i rzetelni.

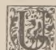
Rozumie się, że w tej gromadce, jak i w każdej innej, są mniej lub więcej zdolni i rozwinięci społecznie, a jak protokóły wykazują, są także charaktery chwiejne i spaczone, z których wadami walczyć trzeba usilnie, bo tacy ludzie wnoszą pierwiastek rozkładowy do życia. Czy walka zawsze wyda pożądane rezultaty, trudno o tem sądzić.

Tych kilka jasnych promieni, jak rzekłem, ucieszyło mię wielce, ale nie rozpędziło całkowicie chmur czarnych na widnokręgu życia, pracy i dążeń naszej młodzieży wogóle. W wyższych zakładach naukowych niemieckich cząstka jej, może liczebnie mała stosunkowo, lecz dla społeczeństwa moralnie wielka i dotkliwa, lgnie do kastowych *Vereinów* lub się przejmuje zapełnie ich zwyczajami, stara się być z łaski przyjętem ogniwem łańcucha nie bratniego, ale wrogiego, który coraz mocniej opasuje nasze istnienie i coraz silniej je uciska. Takich zatraconych jednostek nie przenikną promienie ideałów, ich dusze nie będą zdolne do przejęcia się uczuciem cnoty i piękności; przeciwnie — promienie te, „natrafiwszy na zimne, albo nieczyste serca, odbiją się lub zgasną w powietrzu.“ Jednostki te rozsypią się w pogoni za nędznem, upodlonem istnieniem, staną się dobrowolnie knechtami za kawałek chleba, umaczanego w zniewadze i poniewierce.

Dobre czyny i szlachetne dążenia naszej młodzieży w Rydze, nie uwalniają jej niekiedy od zarzutów. Niechże ona z czasem usunie wszelkie powody po temu, niech wystąpi śmiało z potępieniem zwyczajów, panujących w stosunkach zewnętrznych, np. na wizytach między korporacyami innemi, gdzie przedstawiciele stowarzyszeń polskich muszą się stosować do przysłowia o „krakaniu,“ tj. z Niemcami muszą wypijać niemiecką ilość piwa. Jakkolwiek z takich opałów można wychodzić zwycięzko, nie jest to jednak zwycięztwo nad złem, przynoszące zadowolenie moralne.

Poruszenie przez nas sprawy organizacyj i życia studentów wogóle, dało wynik bardzo ważny i pożądany: postawiło bowiem w zupełnem i wyraźnem świetle wobec społeczeństwa naszą młodzież ryską. To zaś powinno między nią a ogółem zadzierzgnąć węzły zaufania i otuchy.

Zenon Pietkiewicz.



ŁISTY Z PARYŻA.

1 grudnia.

Fenomenalny morderca. — Vacher. — Jęki agraryuszów. — Wystawa z r. 1900. — Rozszerzenie prerogatyw lekarek francuskich.

Urocza sprawa Dreyfusowsko-Esterhazowska tak dalece pochłonęła uwagę publiczną, że nie mówi się teraz, ani myśli o rzeczach, które przed jej wszczęciem zaczynały budzić zainteresowanie! Miłośnicy wiadomości sensacyjnych, w danym zaś razie i głębsi obserwatorzy duszy ludzkiej, mogli śmiało zaprzątać swój umysł potwornym procesem Vachera, jednego z najdrapieżniejszych morderców dziewiętnastego stulecia. Hreczkosieje, a nawet i ludzie głodni — bo na ich żołądkach się to odbiło — z pewnością nie dopuszczali się śmiertelnego grzechu, słuchając lamentu agraryuszów i myśląc sobie w duchu: co za bezwstydni! Wielkich i małych wytwórców, pracowników i goniących za reklamą obchodziła wystawa z r. 1900, której plan coraz uchwytniejszych nabierał kształtów i z cienia przedzierzgnął się w cielesną istotę.

Niestety Scheurer-Kestner i syndykat Dreyfusowski skierowali na siebie wszystkie spojrzenia. Francya współczesna, chociaż leży na przeciwległej prawie płaszczyźnie kuli ziemskiej, niż Nowa Zelandya, posiada tę samą właściwość — mianowicie wulkany, wylewające... błoto. Nie lawę, nie słupy dymu, nie: zwykłe

---

torżników.— Rozkażcie wychłostać ich. Żyć tu niepodobna! Ani w dzień, ani w nocy nie dają spokoju. Ryczą, szemrają, a dlaczego? Chleb, powiadają, surowy. Co za niegodziwcy! Chleb przedni! Przy tych słowach wyjmuje kawałek chleba istotnie surowego, który skazańcy otrzymali tego dnia — i naciska go palcami — mięki chleb. Wyborny! Jakie ja figury z niego ulepię! Cudo! A oni, patrzcie, jeść go nie mogą. Świnie!

Szczególnie tego „głuptasa“ nie lubi doktór S., nielubiany również przez katorgę za swą oschłość, szorstkość, nieprzyjazne traktowanie aresztantów.

— Wielmożny panie! — zwraca się do niego Szaposznikow w tych rzadkich wypadkach, gdy p. S. zwiedza izby więzienne — czy warto nóżki utrudzać, chodzić do tych bałwanów? Czy oni zasługują na to? Oni pana doktorem Wodzieczką zowią; okłamują, że niby pan leczy ich tylko wodą; a pan o nich się troszczy, przychodzi do nich! Proszę plunąć na nich, na te bestye!

— Idź precz! — syknie doktór.

Czy są jakiekolwiek owoce tych protestów?

Bądź co bądź, katorga rada choć z tego, że jej krzywdy nie pozostają bez protestu.

Jęk podczas bólu, to przecież także ulga.

Rozmawiałem dużo z Szaposznikowem. Człowiek to wiekiem jeszcze nie stary, którego jednak do przedwczesnej starości doprowadziły niedola i cierpienia, swoje i cudze.

Otrzymał on wykształcenie niewielkie, ale to i owo czytał i, powiem prawdę, wydał mi się znacznie inteligentniejszym, niż wielu przedstawicieli „inteligencyi“ sachalińskiej.

Pomimo dziwactwa swego, wypowiedział wiele goryczy, wiele uwag cennych.

— Mnie tutaj za półgłówka uważają! — uśmiechnął się — można stracić rozum! Rano wstaję, szukam głowy, gdzie głowa, niema jej! A ona w błocie tarza się! Cha, cha, cha!.. To prawda, że się czasem głowę traci. Bo trudno nie stracić. Cóż widzę dokoła? Brud, niedolę, cierpienie, nędzę, rozpustę, rozpacz. Tu można stracić zmysły. Trudno płynąć przeciw wodzie! Człowiek tonie, a gdy tonie, każdy go po głowie uderzy. Tonącego przecież można. Nie uderzy on, ma ręce czem innem zajęte. Cha, cha, cha! Po główce go, po makówce! A gdy człowiek utonie zupełnie, mówią: „niegodziwiec!“ Nie jest to niegodziwiec, lecz człowiek, który utonął zupełnie. Czy był pan w Paryżu?

— Byłem.

— Otóż ja w książkach czytałem, nie pamiętam, kto był autorem, że tam jest dom nazwany „Morga,“ w którym topielców składają. Otóż nasze koszary więzienne są taką „Morgą.“ Idę, patrzę, a tu na prawo i lewo leżą na tapczanach opuchnięte trupy topielców. Cuchną! Rozłożyły się, nie w nich niema podobnego do człowieka; nie można nawet poznać, jakie za życia pyski były. A przecież widać, że to musieli być ludzie! Mówią o nich: „niegodziwcy!“ Nie, to są topielcy. Nie każdy może to widzieć, chyba tylko ten, co po nocach nie śpi. W dzień myśli się o sobie, a w nocy o innych. Cudze bóle dolegają. A wie pan, kto po nocach nie sypia?

— No?

— Ja i mysz, a zatem cała rozmowa — a kysz!

Szaposznikow zapiał jak kogut i podskoczył na jednej nodze.

* * *

Takie dziwne, wielce sympatyczne typy wydaje katorga obok Wierblińskich.

Niestety, typy takie bywają bardzo rzadkie; tak rzadkie, jak i ludzie dobrzy na świecie.

(C. d. n.).

obrzydliwe błoto. Ale jest to sobie zjawisko tak samo naturalne, jak inne...

Mimo to sprawy, które zaznaczyłem, wydają mi się godnemi uwagi.

Pierwsza Vachera. Gdy przytrzymał go mąż włościanki Beaupied w okolicach Lyonu w chwili, kiedy usiłował ją zadusić, myślano, że jest to zwykły włóczęga, popchnięty do zbrodniczego czynu chciwością. Ale znaleziono przy nim noże i skradzione przedmioty rzuciły nań pewien cień. Powoli doszło się po nitce do kłębka. Poszlaki zostały stwierdzone zeznaniami świadków, dziś Vacher przyznał się do dwunastu morderstw, a sędzia śledczy jest przekonany, że od trzech lat przynajmniej Vacher nie przepuścił jednego miesiąca, aby go nie uświęcić krwią.

Że idzie tu o jednostkę nienormalną, to niewątpliwe. Czy owa nienormalność sięga aż do mającej zaważyć na szali sędziów niepoczytalności? W każdym razie mamy niezwykle ciekawy okaz typu wcielającego w sobie zwierzęce popędy krwiożerczości.

Jako piętnastoletni chłopak opuścił Vacher dom rodziców i przez dwa lata był w zakładzie leczniczym. W r. 1889 operowano go w jednym ze szpitalów lyońskich; po operacyi miał wyznać przed bratem, że czuje chęć zabijania ludzi.

Odbywa potem służbę wojskową i w tym czasie zaczyna swą karyerę od próby zabicia narzeczonej. Przez pół roku trzymają go w zakładzie dla obłąkanych; wypuszczony, jako zdrów, dusi po drodze do domu włościankę Delhomme. W cztery miesiące potem zarzyna Ludwikę Marcel; włóczy się odtąd i sieje zgubę po południowej i środkowej Francyi. Nigdy jednak nie był nawet podejrzany. Szczególniejszy paroksyzm objawia w początkach jesieni 1895 roku 21 i 24 sierpnia, 23 i 29 września dokonywa w czterech różnych miejscach czterech morderstw. Podobnie od wiosny 1897 r.: 1 maja, 21 maja, w początkach czerwca, 18 czerwca, 5 lipca, 10 lipca, 4 sierpnia.

Ofiary najczęściej napadał w polu, zbliżał się do nich, nie budząc najmniejszych podejrzeń, dopiero w ostatniej chwili ściskał obiema rękami szyję i przecinał ją—zawsze innym — nożem.

Agraryusze na jednem z niedawnych posiedzeń Izby biadali znowu i znowu opiewali chwałę systemu protekcyjnego. Dowodzili również zwiększenia się, dzięki zaprowadzeniu tego systemu, ilości właścicieli ziemskich i nawet pewnej poprawy dobrobytu. Maleńka sprzeczność między początkiem wywodów ich obrońcy, Meline'a, a końcem. Wywody owe Izba kazała ogłosić plakatami.

To bardzo ładne. Ale kilka tygodni temu w sądzie paryskim toczyła się sprawa może niezbyt stwierdzająca ogólny dobrobyt. Korsykanina Ceccaldiego karano ósmy czy dziewiąty raz za „włóczęgowstwo." „Wciąż kara i kara — mówił dziewiętnastoletni młodzian — ja nie chcę być włóczęgą, ale pomóżcie mi wyrwać się z mojej niedoli. Proszę nie pierwszy raz o to sędziów i otrzymuję — więzienie. Zobaczycie mię znowu w przyszłości, ale już nie za włóczęgowstwo będziecie mię sądzić."

Wyrok zapadł ponownie. I żaden deputowany nie zajął się ową sprawą, przebrzmiałaby ona bez śladu, gdyby jej nie podniósł znany czytelnikom *Prawdy* „młody" francuski Jan Jullien w gorącym artykule dziennika *L'aurore*.

Chleb także nie tanieje, a nawet w niektórych miejscach zwiększają jego cenę.

Wystawa z r. 1900 była również przedmiotem obrad Izby. Szło o zwiększenie obszaru pod nią wyznaczonego, oprócz tego Viviani i Desfarges interpelowali ministra handlu o „nieprawość warunków, w jakich dokonywa się praca wystawy."

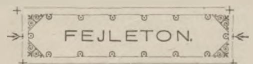
Może więc kiedyś po Dreyfusie, Panamie i kolejach południowych będziemy mieli nowy widok błotny, na razie jednak trzeba przyznać, że prace odnośne postępują dość rącze. Pole Marsowe i część pól Elizejskich, przeznaczone pod budynki wystawowe, są obecnie okryte ruinami zabudowań przedtem wzniesionych. Równocześnie ukazują się zręby Wielkiego i Małego Pałacu, gmachów, które będą należały do najokazalszych. Co kilka dni odbywają się nowe inauguracye, do komitetów wyrokujących o dopuszczeniu wezwano już półczwarta tysiąca osób—wielka nowość: są między niemi i kobiety — w połowie grudnia odbędzie się ogromny bal, urządzony przez świeżo wybranych sędziów. Wreszcie coraz to nowe państwa zgłaszają się do udziału: niedawno Austrya, Belgia i Niemcy, onegdaj Stany Zjednoczone.

Jakich oczekiwać niespodzianek? Układa się ich cała lista. Będą tańce i teatry japońskie i chińskie, król syamski przyrzekł popisać się z czemś niezwykłem, podobno dużą wartość będzie posiadało odtworzenie epoki maurytańskiej na półwyspie pirenejskim. Ostatecznie „gwoździ" będzie wiele, ale podobno największym — król teutoński, Wilhelm II. Albowiem wróżą sobie niektórzy, że nie omieszka złożyć wizyty wystawie.

Są pomysły uczczenia roku 1890, w których i my możemy wziąć udział. Tak np. *Revue des Revues* podała myśl wydania historyi prasy całej ziemi. Pochwyciły ją żywo niektóre koła, wiele pism poświęciło tej sprawie artykuły. Byłaby to rzecz ciekawa i cenna, a że w razie ukonstytuowania się komitet tej księdze poświęcony zwróciłby się i do dziennikarstwa polskiego, otrzymalibyśmy może krótki rys dziejów naszych pism, potrzebny i mogący się przydać zarówno badaczom literatury polskiej, jak szerszemu ogółowi.

Podczas gdy adwokatka, panna Chauvin, spotkała się z odmową praktyki, lekarki zyskały we Francyi pewne rozszerzenie swych praw. Pani Edwards-Pilliot i Janina Leclerc, zwróciły się do rady miejskiej Paryża z prośbą o powierzanie posad przy szkołach dla dorastających dziewcząt kobietom. Rada miejska poparła prośbę i zdaje się wkrótce nastąpi oddanie ośmiu szkół tego rodzaju pod nadzór wyłącznie lekarek.

W. Bugiel.



LIBERUM VETO.

Wystąpienie Mommsena.

Jeżeli w mieszaninie, zwanej życiem, koniecznie muszą się znajdować pierwiastki nierozumu, dlaczego ich wytwórcami nie są jacyś osobni ludzie, wyłącznie do tego zdolni i przeznaczeni? Wszakże wyspecyalizowaliśmy się nadzwyczajnie: jedni z nas robią tylko łepki do szpilek, drudzy — fiszbiny do gorsetów, inni zajmują się Platonem albo potażem, a głupstwa i obrzydliwości musimy popełniać wszyscy lub prawie wszyscy. Widocznie jest to coś podobnego, jak małżeństwo albo ospa. Wielka szkoda. Znam np. pewnego lekarza, który wyświadcza cenne usługi nietylko chorym, ale i zdrowym, a jednocześnie z takim zapałem zaleca ludziom pływanie w błocie, jak gdyby ono było najczystszą kąpielą. Znam adwokata, który posiada dużo rozumu, uczciwości i dobrych chęci, pomimo to czuje sympatyę do półgłówków, głoszących, że dwoje oczu dla człowieka za dużo i że jedno należy wyłupić, a przynajmniej zalepić, żeby nie patrzyło. Znam szczerego demokratę, który staje zawsze w brudnym i robaczywym hotelu dlatego, że go tam służba tytułuje: „jaśnie panem." To opodatkowanie ludzi mądrych na rzecz głupstwa, a uczciwych na rzecz nieprawości jest okrutnym żartem natury, która mogła była go nam oszczędzić.

Kiedy w Szkole Głównej studyowaliśmy historyę rzymską ze znakomitego dzieła Mommsena, nikt z nas zapewne nie przypuszczał, że za lat dwadzieścia będziemy myśleli i mówili o tym wielkim badaczu, jak o Pindterze lub pacholku dziennikarskim, piszącym oszczerstwa polityczne po kilka fenigów od wiersza. Ze swoją olbrzymią wiedzą i pracowitością, z potężnym talentem wskrzeszania i ożywiania wielkich postaci klasycznych, z olśniewającem światłem, jakie swym bystrym i krytycznym umysłem rzucał w ciemnię odległego czasu, wydawał on się nam kolosem i czarodziejem nauki. Gdy Dziekoński przetłomaczył jego dzieło na język polski i uprzystępnił je nawet tym, którzy nie znali niemieckiego, zaprzestaliśmy prawie uczęszczać na prelekcye Plebanskiego i zatopiliśmy się w Mommsenie. Niektórzy uczyli się całych rozdziałów na pamięć. Bo rzeczywiście była to książka wspaniała, epokowa, a ponieważ nasza skromna erudycya studencka nie pozwoliła nam w niej dostrzedz tendencyjności, przekuwającej całe dzieje Rzymu na piedestał dla Cezara, więc przypatrywaliśmy się całej galeryi posągów, wykutych przez rzeźbiarza-historyka, z niemym zachwytem. Wiadomo, że prawie wszyscy gimnazjaści, przynajmniej u nas, nienawidzą Rzymian. Wielu zapewne z czytelników moich przypomina sobie głębokie wzruszenia, doznawane przy uczeniu się lekcyi o bitwie pod Zamą lub Pydną, uwielbienia dla Hanibala lub Greków, odrazy do Scipiona lub żalu do Perseusza; ze wspomnieniami tych uczuć zasiedliśmy na ławce uniwersyteckiej. Wprawdzie tu Mommsen ich nie przerobił, nie nauczył nas kochać Rzymian, ale nauczył podziwiać ich rozum, charakter, niezgiętą wolę i zdolność jednostek do poświęcania się dla dobra ogółu. Przeprowadził on przed naszą myślą postacie surowe, czasem okrutne, prawie zawsze dokonywające gwałtów, ale imponujące swą potęgą. Młodzież nie poznaje historyi z tym chłodem duszy, z jakim poznaje mineralogię lub algebrę. Wkłada ona w nią nietylko swój umysł, ale i serce. Bo człowiek zanim później rozmiłuje się we wszechświecie, w jego prawach i urokach, wprzódy rozmiłowywa się w ludziach. Stąd też nauczyciele dziejów wywierają na niego najpierwszy i głęboki wpływ. Z Mommsenem przeżyliśmy również cały okres rozwoju duchowego, tem pamiętniejszy, że autor *Historyi rzymskiej* nie był jedynie mistrzem szkolnym, którego wielkość kurczy się w oczach ludzi dojrzalszych, lecz mistrzem, trzymającym berło w swej nauce.

Ileż w tem maleńkiem sercu i krótkiem życiu człowieka snuje się tragedyj! Musi on ciągle nienawidzieć a pragnie ciągle kochać. I czy nie jest jedną z boleśniejszych igraszek losu, że ten sam Mommsen, który nas uczył w młodości, któremu zawdzięczamy tyle cennej wiedzy i tyle niezapomnianych uczuć, staje przed nami z białą głową starca jako krzywdziciel moralny i zmusza do ostrego sądu? Zaisto, gdyby była jakaś moc, zdolna powstrzymać wielkich badaczów, kapłanów nauki od mieszania się w pospolite zatargi interesów, walki namiętności i matactwa polityczne, należałoby ją stosować względem wszystkich. Bo prawie zawsze, kiedy znakomity uczony wyjdzie

na jarmark lub pole stare życia praktycznego, powie niedorzeczność i wplącze się w przykrą burdę, w której mu przeciwnicy zedrą wieniec z głowy i poturbują jak najzwyklejszego awanturnika. Taka właśnie przygoda spotkała Mommsena.

Pobudzony walką między Słowianami i Niemcami w Austryi ogłosił on list publiczny, w którym odsądza pierwszych od zasług w rozwoju kultury, a ostatnich zachęca do energicznej obrony swego uprzywilejowanego stanowiska. Trudno wymagać, ażeby ugodzeni tym piorunem poddali się z pokorą niesprawiedliwemu wyrokowi dlatego tylko, że on spadł na nich zwysoka. Mommsen ma prawo do sławy, ale Czesi mają prawo do życia. Odmawia on im tego prawa w imię nieszczęsnej „kultury," którą Niemcy zwykli usprawiedliwiać wszystkie swe zabory, gwałty i pretensye nawet wtedy, gdy z ogólnego jej rachunku przypada na nich bardzo mały udział. Tak np. ze szczególnem upodobaniem używają tej pieczęci politycznej Prusacy, chociaż naród ten pojawił się w dziejach bardzo późno i na klęczkach wyżebrywał niepodległe istnienie u tych, których dziś gnębi z pychą starego patryarchy cywilizacyi. Dotychczas pozostał on kulturalnie bardzo jałowym, a jeżeli w jego życiu nowoczesnem roi się liczny zastęp wielkich badaczów i artystów, to znaczna ich część należy do nabytków dorobkiewicza, ściągającego najlepsze siły z innych plemion germańskich. Właściwa ojczyzna krzyżaków i junkrów rodzi synów bardzo hardych i napastniczych, ale przeważnie ograniczonych. Lecz nawet wówczas, kiedy jakiś naród ma uzasadniony w przeszłości tytuł przewodnictwa kulturalnego, to czyż z tej zasługi może wydobywać przywilej panowania nad innymi człowiek, który żadnych przywilejów nie uznaje? Mommsen należał zawsze w parlamencie niemieckim do tak zwanej partyi postępowej, która stale i zawzięcie walczyła z uroszczeniami klas wyższych. I właśnie tę samą pretensyę, którą przez całe życie zwalczał w swoim kraju, przerzuca jako święte godło do innego. Skoro junkier pruski mówi: równość wobec prawa i korzyści społecznych jest niesprawiedliwością; państwo powinno nas posadzić przy suto zastawionym stole, a inne warstwy ludności odesłać do kuchni; bo kiedy nasi przodkowie pracowali nad jego potęgą, mieszczanie i chłopi myśleli tylko o swoich brzuchach; my byliśmy jego nasionem, a oni mierzwą i gruntem; obecna kultura jest naszem dziełem, a nie ich — jeżeli junkier tak mówi, czyż on nie powtarza logiki Mommsena, zastosowanej do Słowian i Niemców? Czyż ów postępowiec parlamentarny nie uważa Czechów, Słowieńców, Polaków za chłopów, którzy winni wieczyste posłuszeństwo panom, arystokratom kultury, Germanom?

Prasa czesko-polska skulakowała znakomitego dziejopisarza, prof. Baltzer ze Lwowa dał mu lekcyę historyi; co do mnie nie myślę ani go znieważać, ani uczyć, tylko wyrażę szczery żal nad widokiem sędziwego badacza, któremu namiętność zamroczyła umysł, który nad grobem plunął w przewodnią gwiazdę swego życia i rzucił swe szanowane imię w karczemną wrzawę sejmujących łobuzów wiedeńskich. Trzeba nie mieć litości nad sobą, ażeby, będąc Mommsenem, stanąć obok Wolffów i Schönererów, którzy walczą o hegemonię niemiecką łomotem pulpitów, świstem gwizdawek i bluzganiem wymysłów, którzy wchodzą do parlamentu z przyprawionemi brodami, a wychodzą wyciągani za kark przez woźnych i żołnierzy. Jakie miejsce w tej zgrai może być dla Mommsena? Po którejkolwiek stronie w walce politycznej znajduje się słuszność, nie ma jej z pewnością śród nicponiów i hultajów, chociażby oni ze spienionych i brudnych ust wyrzucali najszczytniejszą ideę. To, co w austryackiej Radzie państwa gotowało się tak gwałtownie, nie było kulturą niemiecką, ale jej pomyjami, wstrętnemi dla każdego cywilizowanego człowieka. I pod kotłem z taką zawartością największy z żyjących badaczów świata klasycznego rozdmuchiwał ogień? Prawie niepodobna temu uwierzyć... A czem sobie wytłomaczyć? Chyba tem tylko, że w łonie Germanii, zawsze skłonnej do uprawniania siły, nagromadziło się wiele miazmatów moralnych, które zatruwają najtęższe umysły i wywołują w nich gorączkę niezdrowych pożądań. Być dobrym obywatelem, patryotą, znaczy tam dziś tyle, co być drapieżnikiem politycznym, nienasyconym, duszącym każde słabsze stworzenie nietylko dla nasycenia głodu, ale także dla okazania swej mocy. W tej atmosferze sobkostwa, pychy, chorobliwego głodu szlachetne jednostki albo się duszą, albo są tak osłabione, że nie mogą głosu wydobyć. Może dawniej, gdy był młodszym i na takie wpływy odporniejszym, Mommsen nie uległby im; dziś w starości, w której zwykle popędy egoistyczne z dna duszy na jej wierzch wypływają, usłuchał ich głosu. Ale jak nikt nie burzy pałacu dlatego, że w nim są szczury, tak samo nie należy odsądzać od czci i wiary Mommsena dlatego, że do dzikich gwizdań i pieśni bandytyzmu wiedeńskiego dorobił poważny akompaniament. Głos jego nie wywrze żadnego wpływu ani na przebieg walki słowiańsko-niemieckiej, ani na jej wynik, przebrzmi on wraz z wrzaskami Wolffów i Schönererów bez echa w historyi; pozostaną w niej tylko Słowianie, Niemcy i — dzieła Mommsena.

Poseł Prawdy.



BADANIA NAUKOWE.

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

Prawo zaludnienia w dzikości. — Nowa Holandya dostarcza zasady, rządzącej wzrostem ludności podczas dzikości. — Dzieciobójstwo i jego charakter.— Dzika antropotechnika. — Zaludnienie w dzikości stoi prawie na stałym poziomie. — Wnioski.

Studya nad ludami pierwotnymi doprowadziły mnie do wniosku, iż każdy okres rozwoju społecznego posiada właściwe sobie prawo wzrostu zaludnienia, którego niepodobna przewidzieć w sposób apriorystyczny. Tylko dokładna znajomość faktów zdoła nam odcyfrować zasady, które w tej sprawie rządziły rodem ludzkim. Są okresy, w których niepłodną kobietą pogardzano; istnieją natomiast inne, gdy ograniczona płodność uchodziła za zaletę. Nie będę wdawał się w charakterystykę oddzielnych okresów społecznych i zatrzymam się jedynie nad wzrostem liczby plemieńców podczas stanu dzikości. Wybrałem w tym celu Australczyków, szczep, który mojem zdaniem jedynie nadaje się w chwili obecnej do tego rodzaju rozważań. Inne grupy dzikie są albo zgoła niezbadane, albo też znajdują się w warunkach tak wyjątkowych, iż nie pozwalają na żadne wnioski rozleglejsze. A nawet Australczyków należy traktować z możliwą ostrożnością. Najazd europejski tak podkopał prastare warunki bytu, tak zmienił nietylko otoczenie martwe, w którem szczep ów przebywał, lecz nadto oddziałał na czynności fizyologiczne, iż mieszkańcy N. Holandyi, bądź co bądź, nie są tem, czem byli ich przodkowie. Plemiona lądu kopalnego wymierają, przyczem dojrzałe pokolenia stawiają stateczniejszy opór, niż dzieci. Tem to można wytłomaczyć fakty, że w plemieniu np. Narrinyjerów na 511 osób istniało w r. 1884 tylko 132 dzieci, że w innych stosunki przedstawiają się jeszcze niekorzystniej.

Niedostateczność pokarmu, dostarczanego przez przyrodę, której człowiek jeszcze nie zmusił do wydawania płodów roślinnych i zwierzęcych w pewnym przez niego wskazanym punkcie, stanowi wielką przeszkodę dla wzrostu zaludnienia. Ktoś obliczył, iż gdzie pasterstwo daje utrzymanie jednej osobie, tam rolnictwo może wyżywić 20—30 osób, że wreszcie pasterstwo jest 20 razy wydajniejsze, niż myśliwstwo i rybołówstwo. Naturalnie cyfrom tym nie można ufać, bo każdy zakątek globu przedstawia zgoła odmienne stosunki, ale bądź co bądź dają one pewne przybliżone pojęcie o trudności znalezienia pokarmu podczas dzikości. To też człowiek ówczesny usiłuje nałożyć hamulce na wzrost zaludnienia. Zresztą w tym samym kierunku działają jeszcze inne przyczyny. W tym okresie ani hodowla zwierząt, ani uprawa roślin nie są znane, matka nie posiada więc pożywienia, któreby mogło zastąpić niemowlęciu jej mleko. Musi ona karmić je własną piersią jak najdłużej, nieraz po lat trzy i nawet pięć. Dopóki jedno dziecko nie zostanie należycie odchowane, w rodzinie niema miejsca na następne. Nadto matka musi nosić dziecko na własnym karku, zanim nie nabierze ono sił do towarzyszenia gromadzie w jej nieustającem koczowaniu z miejsca na miejsce. I znowu ta okoliczność każe Australce poświęcać dziecko, które przyszło na świat nie w porę, tj. póki poprzednie potrzebuje jeszcze troskliwości matczynej.

Dzieciobójstwo jest wielką zasadą bytu dzikiego. O tem wiedziano oddawna i prawdę tę uwzględniono w pracach, poświęconych przedstawieniu kultury pierwotnej. Ale wszelkie wywody nie dały należytego wyobrażenia o rozmiarach stosowania tej zasady w życiu. Zdaje się, materyał, zebrany przeze mnie *), po raz pierwszy usiłuje rzucić światło na ten objaw bytu pierwotnego i ująć go w cyfry statystyczne. Z wielu faktów przytoczę kilka wymowniejszych.

W plemieniu Dyjerów mordowano 30% wszystkich niemowląt, przychodzących na świat. Zwłaszcza dzieci pierworodne były nieuniknienie skazane na zagładę: kobiety wychodziły za mąż w wieku lat dziewięciu, zostawały matkami, mając lat 13—14. Potomstwo, zrodzone w tak wczesnym wieku, odznaczało się wątłą budową i doświadczenie wiekowe wskazało plemieniu, że nie należy pozostawiać takich niemowląt przy życiu. Mordowano w dalszym ciągu wszystkie niemowlęta słabe i chore. Niektóre z kobiet przyznawały się otwarcie Gasonowi, iż w ten sposób usunęły ze świata dwoje i nawet czworo własnych dzieci.

O innem plemieniu czytamy u Curra: „Wobec powszechnego stosowania dzieciobójstwa, trudno oznaczyć, ile dzieci pojedyncza kobieta wydaje na świat. Przeciętna liczba porodów prawdopodobnie nie przekracza pięciu. W pewnym specyalnym przypadku, który zbadałem, istniał 16-letni przeciąg czasu pomiędzy wydaniem na świat najstarszego a najmłodszego dziecka. Matki usuwają dzieci ze świata, ażeby nie ponosić trudu karmienia ich. Niektóre z nich bez ogródki przyznawały się, iż zamordowały kilkoro niemowląt. Zwyczaj ten posiada za sobą wszelkie pozory starożytności."

Co do Narrinyjerów, „z ręki matek ginie połowa dzieci." Taplin, który studyo-

*) Praca niniejsza jest streszczeniem obszerniejszej, jeszcze nie skończonej.

wał to plemię, znał kilka matek, które zamordowały po dwoje i troje dzieci. Zabijano każde niemowlę, które przyszło na świat, zanim inne zostało odchowane; robiono to samo z kalekami i bliźniętami, oraz z dziećmi, urodzonemi, zanim matka weszła w związki indywidualne małżeńskie.

Zebrałem osiem spostrzeżeń, podających cyfrę potomstwa, miewanego przez Australkę. Tylko jedno z nich mówi, że kobieta wydaje na świat ośmioro dzieci; dwa wspominają o przeciętnej liczbie pięciorga, inne podają liczbę trojga, przyczem niektóre robią wyraźną uwagę, iż jest to cyfra najwyższa. W danych tych panuje pewna rozbieżność, którą przecież można łatwo wytłomaczyć popierwsze tem, że odmienne zwyczaje istnieją w każdem plemieniu i że są nawet grupy, zresztą bardzo nieliczne, zupełnie nieznające dzieciobójstwa; powtóre, iż jedni pisarze podają liczbę urodzonych potomków, inni zaś tylko tych, których pozostawiono przy życiu. Fakty to wymownie świadczą o rozmiarach dzieciobójstwa oraz o skutkach, które taki zwyczaj musiał wywierać na wzrost ludności. *Zweikinder*-system, tak rozwijający się wśród pewnych warstw Europy środkowej, stanowił poniekąd wielką zasadę bytu pierwotnego, w danym razie australskiego. Biorąc cyfrę, najczęściej podawaną, mianowicie troje dzieci, musimy wywnioskować, iż plemię zaledwie zdołało z pokolenia do pokolenia podtrzymać swój dotychczasowy poziom. Nie trzeba bowiem zapominać, iż śmiertelność naturalna robiła jeszcze znaczne szczerby w młodej generacyi, przeznaczonej do wyrośnięcia i zajęcia miejsca przodków. Zarazy i głód dziesiątkowały zastępy dzieci, mających utrwalić byt plemienny. Posiadam pod ręką notatkę, dotyczącą plemienia Birria. Ojczyzna tego narodu bywała nawiedzana przez straszne posuchy, znaleźć pożywienie było wtedy niezmiernie ciężko i trzeba było zabijać dzieci, ażeby utrzymać przy życiu starsze pokolenie. Podczas posuchy w latach 1876—77 plemię to pożarło wszystkie dzieci.

Plemiona, zamieszkujące N. Holandyę; ograniczały przyrost zaludnienia jeszcze za pośrednictwem innych środków. Pisarz źródłowi, zajmujący się opisem grup, żyjących w środkowych terytoryach tego lądu, powszechnie zaznaczają istnienie pewnego osobliwego zwyczaju, słynącego pod nazwą *terrible rite* — „straszny obyczaj.“ Obrzezanie szczególnego rodzaju uniemożliwiało mężczyznie miewanie potomstwa, chociaż nie przeszkadzało mu być małżonkiem i spełniać obowiązki stanu małżeńskiego. Eyre pierwszy zwrócił uwagę na ten obrzęd i wskazawszy istnienie jego w pewnych punktach N. Holandyi, usiłował wytłomaczyć rodowód. „Zwyczaj ten — pisze on — dziwny i niewyjaśniony, musi bardzo silnie oddziaływać na wzrost ludności i powstrzymywać go. Jego istnienie może winniśmy uważać za dziwne zrządzenie opatrzności, jeśli weźmiemy pod uwagę pusty i jałowy charakter okolicy, którą ludy te zamieszkują.“ W podobny sposób odzywa się także Curr: „Nie wątpię — powiada on — że istotnem zadaniem strasznego obrzędu jest zniszczenie zdolności rozpłodczej mężczyzny. Mówiono mi, iż plemię, pragnąc pozostawić następców po sobie, dokonywa operacyi nie na wszystkich chłopcach. Za pomocą tego środka mogą oni dowolnie regulować rozmiary plemienia i gdy wojna lub mory zmniejszą ludność, po upływie jednego pokolenia doprowadzić je do dawnej siły.“ Że „straszny obrządek“ ma na celu ograniczenie liczby żołądków w plemieniu, o tem świadczą fakty bardzo liczne. Nadto powyższemu zwyczajowi towarzyszą jeszcze inne operacye, dokonywane nad kobietami i uniemożliwiające im wydawanie na świat potomków. Mimowoli nasuwa się pytanie: czy plemię, poddając chłopców i niektóre dziewczęta kalectwu, kieruje się jakiemiś zasadami przy wyborze jednych i drugich. O ile można wnioskować ze szczupłych i nie zawsze wiarogodnych danych, trzeba przypuścić, iż istotnie tak się dzieje i że mamy w danym wypadku do czynienia ze stosowaniem antropotechniki, dążącej do umożliwienia tylko tym, którzy dają rękojmię siły i zdrowia, szans pozostawienia potomstwa i przekazania przymiotów ciała dalszym pokoleniom. Mc Gillivray oglądał kobietę, którą poddano owarotomii. „Była głucha od urodzenia, ziomkowie więc dokonali operacyi, ażeby nie mogła rodzić głuchych dzieci.“ W tym samym celu mordują powszechnie dzieci pierworodne, zrodzone przez matkę, zwykle niedojrzałą jeszcze fizycznie, takie niemowlęta odznaczają się bowiem powszechnie wątłem zdrowiem. W wielu plemionach dopiero kobiety trzydziestoletnie mogą pozostawiać potomków; dzieci, zrodzone przed tym wiekiem, bywają systematycznie zgładzane. Co do mężczyzn, procent osób, których nie poddano „strasznej operacyi,“ jest w plemieniu bardzo nieznaczny. Ktoś na trzystu znalazł tylko dwóch czy trzech, posiadających zdolność zapłodnienia kobiety, za to jeden z tych uprzywilejowanych posiadał 6½ stóp wysokości i był najurodziwszym okazem plemienia. Natomiast okaleczonych tubylcy nagradzają możliwymi zaszczytami. Tylko ten, kto przeszedł „straszny obrzędek,“ uchodzi u Dyjerów za „skończonego i doskonałego mężczyznę,“ tak iż „inni wypowiadają głośno żal, iż nie są w ten sposób naznaczeni“ i zazdroszczą obrzezanym. „Ci ostatni mają pierwsze miejsce na wielkich zborach plemiennych, są tam kierownikami tańców i mistrzami uroczystości.“

Mieszkańcy N. Holandyi rozmaitymi sposobami usiłują więc powstrzymać przyrost zaludnienia i uniemożliwić rozdźwięk pomiędzy liczbą żołądków do nakarmienia a źródłami pożywienia. Za pomocą strasznego obrzędu mogą oni poniekąd w sposób dowolny regulować wzrost liczby plemieńców. Zresztą ten środek, wobec istnienia bezładu podczas sobótek plemiennych, nie może wywierać zbyt wielkiego wpływu, spełnia on raczej tylko inne zadanie, mianowicie nie pozwala wątłym mężczyznom przekazywać swoich wad dzieciom. Działa on tylko o tyle na powstrzymanie przyrostu ludności, o ile rada plemienna, wyznaczająca pary dorywczych małżonków na zborach plemiennych, nie pozwala kobietom poniżej pewnego wieku obcować z nieobrzezanymi mężczyznami. Natomiast dzieciobójstwo stanowi istotnie potężną dźwignię, rozstrzygającą o liczebności plemienia w szeregu pokoleń. Zaznaczyliśmy już, że skutkiem rozległego stosowania tego zwyczaju cyfra plemieńców zaledwie utrzymuje się na dawnym poziomie i nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż jeśli do tego środka dołączą wpływ swój jeszcze inne czynniki, np. mór, naówczas plemię zmniejsza się. A tymczasem wzrost liczby osób, wchodzących w skład pewnej więzi społecznej, jest jednym z najważniejszych warunków jej dalszego postępowego rozwoju: tylko wtedy plemię może rozszerzyć się po za obszary dotychczasowe, wzmocnić powagę swoją wśród sąsiadów i stać się ośrodkiem dalszej ewolucyi. Droga postępu więc była utrudniona w Australii i tylko wyjątkowo grupy, przebywające wśród szczególnie sprzyjających okoliczności, mogły wkroczyć na nią. Ale i one nie mogły bezkarnie wyłamać się z pod jarzma stosunków, właściwych bytowi dzikiemu. Wszelka przewyżka po nad pewną normę zmuszała plemię do rozejścia się w dalsze okolice, te zaś w N. Holandyi były zajęte. Właśnie ta ostatnia okoliczność sprawiła, iż dzieciobójstwo w Australii przybrało taki ostry charakter.

Nasuwa się pytanie, o ile wzory, zaczerpnięte z lądu kopalnego, mogą służyć za skalę powszechną? Niektórzy etnografowie wypowiadają zdanie, iż byt Australczyków i innych dzikich obecnych jest pozostałością po tego samego rodzaju stosunkach, właściwych niegdyś całemu globowi. Zdanie to trzeba przyjmować z pewną oględnością. Już to jedno, iż inne okolice z biegiem czasu przeszły do wyższego poziomu kultury, świadczy, iż w Australii istniały wyjątkowo warunki i że w dalszym ciągu nie mogło to nie pozostać bez wpływu i na inne strony życia. Co do nas, nie wahamy się ani chwili wypowiedzieć pogląd, iż pierwotny byt dziki różnił się bardzo od stanu obecnych ludów dzikich i że instytucye tych ostatnich, mając większy przeciąg czasu do rozwoju, ukształtowały się nieco inaczej. Człowiek, w miarę rozmnażania swego, rozchodził się wszerz i wzdłuż globu, póki go nie zaludnił. Pewne grupy, znalazłszy się jak Nowoholandczycy, w bardzo niesprzyjających warunkach, nie wyszły ze swego stanu i rozwinęły pewne urządzenia, tylko zaczątkowo właściwe okresowi pierwotnemu. W liczbie ich między innemi postawilibyśmy niektóre zasady dzieciobójstwa, oraz zwyczaje antropotechniczne, usiłujące powstrzymać wzrost plemienia przez regulowanie związków małżeńskich bezładnych i nadające tylko niektórym mężczyznom możność zapłodnienia kobiety.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

JESZCZE O TWÓRCZOŚC[I]

II.

Kto wie, czy dobroć geniusza, która zawsze jest przejawem zadowolonej ambicyi, nie jest tylko skutkiem współistnienia w nim dwóch typów rasowych, samotnego drapieżcy i stadnego poczciwca, a ponieważ pierwszy ma zawsze pierwszeństwo przed drugim w zapasach, które między sobą toczą, mielibyśmy w ten sposób dowód pośredni wyższości antropologicznej pierwszego.

Kto wie, czy „złe“ i „dobre“ sumienie, które każdy z nas posiada w większym lub mniejszym stopniu, nie znajdzie kiedyś objaśnienia czysto antropologicznego w rysach zasadniczych tych ras, które na wytworzenie nas się złożyły. Nie chcemy tem powiedzieć, aby zły człowiek był w nas zawsze wyższym biologicznie od dobrego. Tak człowiek stadny jest wyższym biologicznie od samotnego lwa. Mogą więc być i typy pod-ludzkie samotne, które się jeszcze śród nas tułają. Ale ich niższość odrazu jest widoczną z zakresu ich umysłowości.

Natomiast wyższość umysłowa Mefista nad Faustem jest oczywistą: pierwszy gra w życiu drugiego rolę losu. A jeżeli z czasem Faust wydobywa się z pod władzy Mefista, to tylko dlatego, iż ten ostatni się starzeje, iż ciśnienie społeczne wydusiło z Goethego całą jego złość. To skupienie wyższej energii, które pozwalało mu unosić się nad tłumem i spoglądać nań ze śmiechem, jak na stado baranów, społeczeństwo swym naciskiem zamieniło na piękne dzieła, z samego zaś Mefista zrobiło starą rudorę, która już pomieścić się

mogla śród tłumu i wówczas pozostał na placu sam tylko Faust.

W gruncie rzeczy sprawa przedstawia się tak: każdy gatunek, rozwijający się społecznie, musi na pewnym stopniu tego rozwoju zatrzymać się pod względem biologicznym, gdyż tępi jednostki, któreby mogły wydać gatunek wyższy. Jednostki te stają się samotne i złe. Zaczyna się walka pomiędzy niemi a tłumem, walka, która w gruncie rzeczy jest kooperacyą. A mianowicie, walka ta ma na celu zamienić wyższą energię biologiczną tych jednostek na energię psychiczną, która dokonywa syntezy społecznej, wyrażającej się w czynach, w utworach poezyi, nauki, sztuki. Ale syntezy tej geniusz dokonywać może tylko dopóty, dopóki w nim jest jeszcze pewna wyższość biologiczna, która jest dla tłumu „złością.“ Dotąd też trwa walka tłumu przeciw geniuszowi. Gdy nareszcie cała jego wyższość biologiczna zamienia się na dzieła, gdy wszystkie jego siły zostaną wyczerpane i starane, on staje się dojrzałym dla pożycia społecznego, gdyż niczem już od innych członków tłumu się nie różni, już jest „dobry.“

Proces twórczości trwa więc tylko dopóty, dopóki geniusz jest „zły.“ To nam objaśnia wrzekomą sprzeczność, która zwykle zastanawia w geniuszu: wyrzucają mu wszyscy, iż, będąc egoistą, tak pięknie umie malować uczucia sympatyi i moralności. Z punktu widzenia naszej teoryi sprawa jest jasną: nawet syntezy moralnej altruistycznej mogą dokonywać tylko ci „źli“ i o tyle tylko, o ile są jeszcze źli. To uczucia dobroci i sympatyi, wytworzone przez tłum, są dla geniusza gliną, której tylko on może nadać kształt określony. Ale on powinien nad niemi panować, nie zaś im się poddawać! Geniusz, w jakiejkolwiek dziedzinie się przejawia, powinien pozostać zimny, jak głaz, raczej traci swą siłę twórczą. I traci j. niechybnie i staje się przedmiotem uczuć społecznych, nad któremi poprzednio panował, w miarę tego, jak siły sterane zostają przez życie. To samo powiedzieć można nietylko o dobroci, lecz i o pięknie. Wogóle zarzuca geniuszom, iż są jak lustro, w którem odbija się dobro i piękno, ale oni sami niemi nie są. Krasiński ten sam zarzut czyni poetom. Otóż na tej właśnie naturze egoistycznej i nieporuszonej polega istota geniusza. Takim właśnie był Goethe. Ci krytycy, co domagają się dobroci geniusza, zaiste nie wiedzą, co czynią: dobroć jest to obrzękłość mięśni, która z pięknej niegdyś, jak posąg dziewicy, czyni z czasem opasłą niewiastę. Wiemy, iż jest to proces niezbędny, z pod którego nikt wyłamać się nie może, ale nie miejmy dziecinnych zachceń!

Szczęśliwy jest geniusz, który w miarę rozwoju, pod ciśnieniem stada, zamienia całą swą „złość“ na piękne dzieła i powoli zbliża się do portu dobroci; ale nie chciejmy odwrócić tego porządku, nie chciejmy, aby surowa harmonia linij Apollina naruszoną została żadnem przetłuszczeniem, poświęćmy mu wszelkich Maryaszów: niech ich odziera ze skóry.

Twórcą więc w Goethem był, zdaniem naszem, Mefisto a nie Faust. Ten ostatni jest raczej naturą bierną i społeczną, tamten czynną i ambitną. Nie chcemy przez to bynajmniej powiedzieć, iż Faust nie posiada wcale genialności. Jest to pojęcie względne. Każdy gatunek jest dla swego poprzednika genialnym: nietylko człowiek dla małpy, ale kot dla myszy. Każdy wszakże gatunek, w miarę swego rozwoju społecznego, zamienia całą swą możebną energię na czynną, tj. traci swą genialność i ona koncentruje się już tylko w kilku odrębnych jednostkach, samotnych, które swoją drogą z czasem ulegną tejże ewolucyi, tj. skupią się pod parciem warunków w społeczeństwo i zamienią całą swą siłę twórczą na formy społeczne. Gatunek już uspołeczniony może więc jeszcze w znacznym stopniu posiadać genialność, ale ona dąży, w miarę postępu, do zaniku. Tak Francuzi już są u kresu wszystkich swych możebnych energij.

W tym duchu powiedzieć można, iż taki Faust, natura społeczna, znajduje się jeszcze w pośrodku swej karyery, on może ma jeszcze coś do powiedzenia, ale większość rzeczy w nim ukrytych już została wypowiedziana. Jego sentymentalizm w znacznym stopniu musi być bezpłodnym, jego twórczość — naśladownictwem. Gdy natomiast Mefisto przedstawia tę siłę wrogą, która odczepiła się od stada, bo w niem pomieszczenia godnego swych sił znaleźć nie mogła, siłę o tyle wyższą, iż to, co dla stada jest przedmiotem poważnych rozmyślań, dla niego jest przedmiotem śmiechu. Jest to punkt, przedstawiający skupienie nowej energii możebnej, która dopiero w przyszłości się rozwinie w nowe płody społeczne, ale rasa Mefista oczywiście grać będzie rolę wodza i zapładniacza wobec miękkiej, kobiecej i biernej rasy Fausta, która już raczej wzdychać i marzyć, niż żyć i czynić jest zdolna. Mefisto musi być ogłoszony przez stado Faustów za infamisa, nikczemnika i wypędzony precz ze stada, jeżeli ono jest dość liczne i silne. Ale pogarda stada niczego nie dowodzi, a zimny, sarkastyczny śmiech Mefista jest odwetem jego wyższości.

Geniusz jest wyższem skupieniem energii, która się wyraża niechybnie w większym egoizmie i większej produkcyjności. Otóż egoizm ten stado może natychmiast ocenić, ale produkcyjność geniusza mogą ocenić dopiero przyszłe pokolenia — i dlatego stado ogłasza geniusza „złym.“ W dziecinne jednak nasze pojęcia o „złem“ i „dobrem“ nauka kiedyś wprowadzi porządek, trzymając się jedynej miary: użyteczności społecznej, nietylko istniejącego w danej chwili stada, ale i najbardziej odległych pokoleń. Wówczas okaże się, iż ci wrzekomi „źli“ byli najproduktywniejszemi siłami i że twórczość ich tak długo tylko istniała, jak i wrzekoma ich „złość.“ Geniusz może niewątpliwie być człowiekiem dobrym, w znaczeniu gminnem — czy to pod wpływem krzyżowania, czy też pod wpływem wychowania — ale geniuszem jest wówczas nie dzięki swej dobroci, lecz wbrew niej. Tak samo geniusz może być człowiekiem fizycznie słabym i chorym — pod wpływem niedobranych dziedzicznie związków i ciśnienia społecznego — ale geniuszem jest nie dzięki swej słabości, lecz wbrew niej. Geniusz czysty jest samolubnym, pięknym i przebiegłym samcem.

Dr. L. Winiarski.

LITERATURA POLSKA.

Aër: Mickiewicz w Odesie i twórczość jego z tego czasu. Warszawa, nakł. ks. Rzążewskiej, 1897.

Aër jest to kryptonim przedwcześnie zmarłego wychowańca Szkoły Głównej, sumiennego badacza historyi literatury polskiej, Adama Rzążowskiego. Zamierzał on w swoim czasie opracować obszerną monografię o Mickiewiczu, ale zdołał zaledwie kilka jej rozdziałów wykończyć. Jednym z nich był właśnie ten, którego tytuł widzimy w nagłówku, drukowany po raz pierwszy w r. 1884. Wówczas stanowił on zupełnie nowy i interesujący przyczynek do życiorysu naszego wieszcza, Aër bowiem poznał osobiście w Paryżu Karolinę z Rzewuskich Sobańską (wówczas już panią Lacroix), która mu opowiadała dużo o stosunkach odeskich z r. 1825, kiedy tam bawił Mickiewicz. Mówiła też dużo o miłości poety, tylko, żeby nie wymienić siebie, jako przedmiot zapałów Mickiewicza, zmyśliła osobę swojej „przyjaciółki“ Aër powtórzył opowiadanie p. Lacroix, jak je słyszał; dziś wiadomo na pewno, że ową „przyjaciółką“ była sama pani Karolina. Do skontrolowania innych szczegółów, opowiadanych przez nią, niewiele dotychczas posiadamy środków, więc też przyjmujemy tak, jak je podał Aër. Opowiadanie jego jest żywe i zajmujące, z pewnemi właściwościami powieściopisarskiemi, gdyż Aër i w tym kierunku sił swych próbował. Rozbiór twórczości poetyckiej z czasów odeskich przeplata szczegóły biograficzne, a jest trzymany w tonie bardzo popularnym. Warto byłoby przedrukować inny rozdział niedokończonej pracy Aëra, to jest „Studyum o Panu Tadeuszu,“ drukowane r. 1884 w *Dzienniku Poznańskim*; znajduje się tam kilka trafnych spostrzeżeń, których wartości nie osłabiło bynajmniej ukazanie się późniejszych prac nad tym samym przedmiotem, podjętych przez pp. Biegeleisena i Gostomskiego. W czasie, kiedy umysły zwrócone są ku wielkiemu twórcy, takie odświeżenie studyum Rzążowskiego mogłoby zyskać czytelników, niemających zbyt dużo chwil wolnych do odczytywania dzieł obszerniejszych.

P. Ch.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Z estrady i ze sceny.

Mało nowych wrażeń dał nam dotąd obecny sezon muzyczny. Słuchamy — a raczej słuchać już się uprzykrzyło — ciągle tych samych oper, których tytuły, nawet-nieuczęszczający wcale do teatru czytelnicy, znają już chyba na pamięć. Nie ma zatem i sprawozdawca zbytniej pracy, bo i z czegóż sprawę ma zdawać? Zapewniać, że p. Battistini jest wytwornym Don Juanem, znakomitym Figaro, że małą rolę ojca Alfreda w „Violecie“ wysunął na pierwszy plan, lub że mu nie staje gryzącego sarkazmu i potęgi bólu do odtworzenia partyi Rigoletta? Przypominać mistrzowską koloraturę, czystość tonu, świetny tryl panny Pacini i ubolewać nad jej niewzruszonym chłodem? Rozwodzić się nad wszystkiemi nieodpowiedniemi rolami, których się pan Bonci podejmuje, a do których nie dorósł? Powtórzyć raz jeszcze pochwały naszym artystom za wykonanie głównych partyj w „Halce“ i „Strasznym dworze“? Nudna to robota i pożytku nieprzynosząca.

Jeśli i Towarzystwo muzyczne zbyt wielu nowych wrażeń dotąd nam jeszcze nie dostarczyło, to natomiast przypomina nam takie, że świeżych domagać się nie mamy potrzeby. Mieliśmy Burmestera (d. 10 list.) i trio: Zajic, Grünfeld i Pauer (d. 17 listopada) i znajdujemy się w prawdziwym kłopocie, coby tu jeszcze o tych znakomitych artystach powiedzieć, skoro wyczerpaliśmy już za poprzednich ich występów cały słownik pochwał, a skoro przez niedługi czas, jaki ich ostatni pobyt od obecnego oddziela, nie mogły w artyzmie ich zajść takie zmiany, któreby do nowych uwag pobudzały. Ograniczymy się zatem zapisaniem, że Burmester wykonaniem koncertu Beethovena dosięgnął tych wyżyn sztuki, po za które już dalej iść niepodobna. Mistrzowski wykonawca tak się zespolił z duchem genialnego kompozytora, tak wniknął w najtajniejsze jego myśli i styl jego odczuł, tak własne wirtuozostwo zacierał, było uwydatnić wartość arcydzieła, że trudno istotnie wyobrazić sobie lepszego, niż Burmester tłomacza nieśmiertelnych utworów Beethovena. W dalszym ciągu programu olśniewał znakomity skrzypek słuchaczów

całym arsenałem techniki: oktawami, tercyami, flażeoletami, pojedynczymi i podwójnymi, trylami, wykonywając kompozycye Wieniawskiego, Paganini'ego, Sarasatego, przejmował głębią wiolonczelowego niemal tonu w dorzuconej nad program „Aryi" Bacha.

Pożądanem urozmaiceniem tegoż koncertu (17 listop.) był udział orkiestry, która wykonała „Symfonię" (g dur) Haydna i dwie części nieznanej u nas, a o ile z tych urywków sądzić można, nader melodyjnej i doskonale opracowanej polifonicznie „Serenady" Jadasohna („Cavatina" i „Intermezzo").

Trójca — Zajic, Pauer i Grünfeld — nie popisywała się tym razem oddzielnie, program obejmował tylko trzy tria: Beethovena, Brahmsa i Dworzaka („Dumki") na czem, zdaniem naszem, występ artystów zyskał tylko. Każdy z nich z osobna wywiera bowiem znacznie mniejsze wrażenie, niż w grze wspólnej, w której stanowią prawdziwie mistrzowską całość.

„Zjawiskową" nazwalibyśmy śpiewaczkę, którą słyszeliśmy d. 24 z m. w Tow. muzycznem. Młodziutka ta artystka, *miss* Ettinger, jest istotnie czemś tak niezwykłem, że bierze ochota zakwalifikowania jej do — muzeum osobliwości. A niezwykłość owa polega na tem, że głos p. Ettinger, bezbarwny, pozbawiony dźwięku w regestrze niższym i średnim, niepodatny do odtworzenia *cantileny*, przybiera w tonach wyższych i najwyższych brzmienie takie przeczyste i kryształowe, że uwierzyć niepodobna, iż z tej samej wychodzi krtani. A krtań ta znów, w tej najwyższej skali — śpiewaczka bierze górne *fis* z największą łatwością — zamienia się w prawdziwy instrument; wypływają z niej gamy, stacata, tryle z niesłychaną łatwością i niezachwianą intonacyą, a dźwięczą już nie jak głosem ludzkim wykonywane, lecz jak tony fletu lub najdoskonalszych skrzypiec Amati'ego. Do tej „osobliwości" swojej stosuje też artystka i program, słyszeliśmy zatem najeżone trudnościami koloraturowemi arye z oper „Lakmé" (Délibes) i „Filemon i Baucis" (Gounod), mieliśmy kilka w tym samym stylu trzymanych naddatków i wreszcie pieśni Schuberta, Schumanna i Goldmarka, którym jednak, choć zaśpiewanym inteligentnie, brakło głównego warunku — dźwięcznego głosu. „Osobliwość" *miss* Ettinger zdumiewa, olśniewa, ale po pewnym czasie nuży jednostajnością i do duszy przemówić nie zdoła.

P. Wacław Grudziński, drugi koncertant tego wieczora, młody skrzypek, od ostatniego popisu swego postąpił widocznie. Jest on obecnie uczniem Thomsona— rozpoczął naukę u Barcewicza; ton jego miękki, frazowanie szerokie, sprawność ręki już niemała. Brak mu, jak dotąd, temperamentu i indywidualności. Najlepiej z wykonywanych utworów wyszły z pod smyczka młodego artysty „Folies d'Espagne" (Corelli'ego), które jak na „szaleństwa," a zwłaszcza hiszpańskie, szczególnie są spokojne i melancholijne.

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POEZYA. J. Jankowski: „Rymy i rytmy" (352 str.), Paprocki.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH zawiera w dalszych tomach: „Z zapisek myśliwego" J. Turgeniewa, „Dzieje Księstwa Warszawskiego" F. Skarbka.

HISTORYA LITERATURY. „Obrazu literatury polskiej w streszczeniach i przekładach" wyszedł zeszyt 2.

— P. Chmielowski: „Zygmunt Kaczkowski, jego życie i działalność literacka" (140 str., kop. 30) Gebethner i Wolff.

HUMORYSTYKA. K. Bartoszewicz zebrał, ułożył i objaśnił „Księgi humoru polskiego," 4 tomy, Petersburg, Grendyszyński. Zgromadzono tu prawie wszystko, co celniejszego znajduje się zwłaszcza w dawniejszej literaturze polskiej.

— „A. Petofi," król poetów węgierskich, Warszawa, Plato v. Reussner.

HISTORYA. K. Pulawski: „Szkice i poszukiwania historyczne," serya II (350 str.), Petersburg, Grendyszyński.

— K. Skirmunt: „Nad Niemnem i nad Bałtykiem," z kartą geograficzną (193 str.), Gebethner i Wolff.

SZTUKA. Józef Mikulski: „Sztuka aktorska" (231 str.). Centnerszwer.

DLA MŁODZIEŻY. M. Świderska: „Opowiadania historyczne," z ilustracyami C. Jankowskiego (429 str.), Gebethner i Wolff.

— Z. Morawska: „Jerzy Jaszczur Bażeński," z ryciną (301 str.). Gebethner i Wolff.

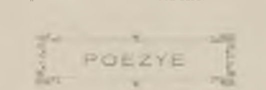
— Laskarys: „Przygody J. Chryzostoma Paska," opowiadanie dla młodzieży (218 str.). Gebethner i Wolff.

DLA DZIECI. Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała prześliczny zbiorek wierszyków M. Konopnickiej p. t. „Nowe latko," z ilustracyami P. Stachewicza.

— Władysław Kruk: „Dzienniczek Broni," powiastka z ilustracyami (132 str.), Paprocki.

KALENDARZ rzymsko-katolickiego Tow. Dobr. na r. 1898.

— „Kalendarz lubelski" na rok 1898.



Milczenie.

Czujesz, jak cię oddechem ogarnia milczenie?
Ma w sobie step piołunu i morze słodyczy,
Senne jest, a jak tygrys podrażniony ryczy.
Czy czujesz, jak cię w szpony porywa milczenie?

Nie chowaj się w gąszcz duszy: to mówi milczenie.
Mówi coraz to ciszej, coraz tajemniczej.
Słyszysz: wolno, miarowo chwile liczy, liczy.
Nie skryjesz się w las duszy: to mówi milczenie...

Słyszysz: dzwoni — ktoś umarł. Dzwoni, dzwoni, [dzwoni.
Słyszysz: wyje powietrze, modlą się kamienie.
Widzisz: robaki wspomnień ćmią, w wściekłej [pogoni,

I strzępy świadomości pełzną, jak padalce.
Widzisz: stoi, jak widmo, zielone milczenie
I z zimnym chrzęstem łamie zakrwawione palce.

Brzoza

Na polu brzoza stoi pochylona, krzywa.
Drżeniem każdy jej liść spotyka wiatru wiew.
Za każdem z takich drżeń żałobnie się odzywa
Coś niby cichy jęk i rozełkany śpiew.

A wiesz ty, sturamienna i zielonogrzywa,
Za com ukochał cię tak po nad wszystkie z drzew?
Dlaczego marzeń rój za tobą tak się zrywa,
Jak za okrętem w dal stado spłoszonych mew?

Ot, że mi w twojem białem, niepozornem drewnie
Serce rodzone drga, dusza mi bliska gra,
Ot, że nam rozdzielono bratersko i pokrewnie

Jeden serdeczny ból na organizmy dwa.
Ot, że oboje stygniem w pragnieniu junaczem,
Stoim — za siebie płaczem i za innych płaczem.

Kochanka.

Jedna kochanka w życiu była dla mnie stała.
Była, jak duch natrętny z mroków uroczyska,
Była, jak żar, co wężem w paliwo się wciska,
Spragniona mojej duszy i mojego ciała.

Moja myśl przed nią ptakiem spłoszonym pierz- [chała
Na przepaście kurhany, na łyse urwiska.
Ona goniła za mną daleka a bliska
I spalone mi usta usty całowała.

Przez żrących żądz kostnice, przez pragnień [otchłanie,
Przez moich słońc strąconych błędne korowody,
Przez burze, którym z żalu serce pęka,

Przez żywych snów poczęcia, drgnienia i porody,
Szła za mną, jak pies, wierna, pewna, jak skonanie,
Nieodłączna, wieczysta — ona — moja męka.

Władysław Sterling.

O PRAWDĘ.

Przed kilku tygodniami odbyło się otwarcie lokalu Towarzystwa wioślarskiego w nowowzniesionym gmachu przy ul. Foksal. Z racyi powyższej urządzono składkowe śniadanie dla członków i zaproszonych gości. Wówczas wiceprezes Towarzystwa, p. Matecki, wzniósł toast na cześć nieobecnego prezesa Ksawerego hr. Branickiego i zarazem, za zgodą obecnych, wysłał do niego depeszę treści następującej:

„Zebrani po raz pierwszy w nowym lokalu członkowie Towarzystwa wioślarskiego piją za zdrowie swego prezesa i *opiekuna*."

Sądziłem, że treść depeszy wywoła burzę protestów, gdyż między zebranymi byli ludzie poważni wiekiem i stanowiskiem i że ci za narzucenie sobie opieki conajmniej się obrażą; niestety, tylko to i owdzie dały się słyszeć szemrania, ale do jawnego protestu jakoś nie starczyło odwagi.

Fakt powyższy nie przebrzmiał bez echa — znalazł naśladowców, którzy, nie mając za sobą powagi stanowiska wiceprezesa, narazili się na zasłużoną szykanę.

W ubiegłą sobotę został urządzony konkurs kręglowy, w którym wzięło udział trzydziestu kilku członków. Po rozstrzygnięciu konkursu, uczestnicy jego zasiedli do wspólnej kolacyi. Z okazyi tej nie omieszkał skorzystać p. D., gdyż, widocznie, przejęty do głębi wdzięcznością dla swego „opiekuna," przemówił do zebranych w następujących wyrazach:

„Ponieważ prezes nasz, Ksawery hr. Branicki (na szczęście nieobecny), należy do przedstawicieli arystokracyi rodowej i finansowej, przeto, oceniając jego dobre serce, wznoszę toast za jego zdrowie."

Zaiste, dziwny pomysł!

K. Junior.

W DALI.

Niwka. Przed kilku tygodniami *Prawda* pisała o zastosowaniu na kolei Łódzkiej osobnej, to jest taniej kuracyi dla pracowników ubogich. Obecnie mamy do zaznaczenia, iż coś podobnego, ale w wyższym stopniu dzieje się na kolei Dąbrowskiej. W razie choroby pracownicy tej drogi otrzymują lekarstwa, robione przez felczerów w tak zwanych apteczkach kolejowych. Jakie może mieć pojęcie felczer o farmakopei? Wreszcie, czy wogóle mogą zachować zdrowie pracownicy kolejowi, przeciążeni służbą, pomimo przepisów ministeryalnych? Oto przykład wymowny ze stosunków, panujących na stacyi Niwka, wysyłającej węgiel kamienny z kopalni „Niwka," „Rudolf" i „Oskard." Pociągi osobowe wcale tam się nie zatrzymują, ale za to odchodzi dziennie 100 wagonów towarowych, naładowanych i tyleż przybywa pustych lub ładownych różnymi przedmiotami dla miejscowych i sąsiednich kopalni i fabryk. Całą ekspedycyę, oraz służbę ruchu tej stacyi załatwia trzech urzędników, tj. zawiadowca z pensyą 480 rs., pomocnik 420 i kancelista 240 rs. Ponieważ nie mają oni mieszkań w domach kolejowych (gdyż dotąd nie wybudowano ich wcale), otrzymują więc na mieszkanie, opał i światło sumę w stosunku 25% pensyi, muszą zaś mieszkać w chatach włościańskich, odległych o dwie wiorsty od stacyi. Chcąc wykonać całkowicie robotę codzienną, muszą wszyscy trzej być na służbie od

5 rano do 1 w nocy, gdyż ostatni transport wagonów przybywa o 11 wieczorem. Łatwo sobie wystawić ogrom pracy tylko kancelaryjnej, nie licząc nawet najważniejszego obowiązku czuwania nad bezpieczeństwem licznych pociągów, zarówno towarowych na miejscu, jak i przechodzących osobowych. Trzeba o każdym wagonie wyprawianym napisać i obrachować: 1) list frachtowy z dwoma egzemplarzami kopij (dublikatem i tryplikatem), 2) wiadomość drogową, 3) wiadomość wagonową, 4) list o przebiegu wagonów. Nadto, zapisać każdy wagon do księgi stacyjnej, do zdawczej dla prowadzącego pociąg, do raportu pociągowego, oraz list zdawczy do pokwitowania na stacyi odbierającej wagon. Wreszcie z tego dziennego ruchu wagonów wyprawianych i przyjmowanych trzeba co dwa tygodnie napisać wykaz i raport do kontroli przychodów, załatwić korespondencye z różnemi władzami służby kolejowej, wysyłać i odbierać depesze itd. Prawie niepodobna uwierzyć, ażeby takiemu ogromowi pracy podołało trzech ludzi. A jednak muszą oni wykonywać ją ściśle, z nadzwyczajnym, zabójczym wysiłkiem; muszą pracować *dwadzieścia* godzin dziennie! Skutkiem takiegoż przeciążenia na stacyi towarowej „Kazimierz" wiosną r. z. wykoleił się pociąg osobowy, gdyż służba nie miała sił czuwać nad zwrotnicami, zawiadowca zaś wniósł do protokółu, że na zwrotnicach nie był i nie bywa, bo na to brak mu czasu. Pomimo znacznej ekspedycyi węgla w Niwce, zarząd kolei Dąbrowskiej nietylko nie wzniósł domu mieszkalnego dla urzędników, ale nawet nie wybudował kancelaryi, która najpierw mieściła się w izbie domku dróżnika, a teraz towarzystwo kopalni dało pokój na ten cel. Spotkanie się pociągów w Łącznej było także zapewne skutkiem oszczędności, bo dwu urzędników w telegrafie, czuwających po 16 godzin, nie może w czasie przeznaczonym na wypoczynek sprawdzać zwrotnic, dyżurujący zaś nie może odchodzić od aparatu, bo gdyby nie odpowiedział natychmiast na wezwanie stacyi sąsiedniej, zapłaciłby karę. Całe tedy bezpieczeństwo pociągów zależy od zwrotniczych, co jest niewystarczające i niezgodne z przepisami.

Petersburg. *Nowosti* podały opis sprawy, rozpatrywanej świeżo w senacie. „Celem ugruntowania własności ziemskiej rosyjskiej w 9-ciu guberniach zachodnich, d. 10 grudnia 1865 r. wyszło prawo, uzupełnione d. 27 grudnia 1884 r., którego mocą Polacy w kraju zachodnim mogą nabywać nieruchomości jedynie w drodze spadku prawnego, przyczem generał-gubernatorowie i gubernatorowie otrzymali prawo kwestyonowania i unieważniania wszelkich aktów, uznanych przez nich za upozorowane. Otóż w praktyce powstało pytanie, czy przedawnienie dotyczy powództwa władz administracyjnych?" Potrzebę odpowiedzi wywołała sprawa następująca: Szlachcic, Antoni Zawadzki, aktem darowizny przekazał córce swojej, Skopowskiej, majątek w pow. Zasławskim i, po załatwieniu formalności aktowych, pani S. w d. 18 sierpnia 1881 r. weszła w posiadanie. Uważając akt za upozorowany, generał-gubernator w d. 4 maja 1893 r. wystąpił o zwalenie darowizny. Sprawa oparła się o sąd okręgowy w Żytomierzu i Izbę w Kijowie, gdzie pozwani powoływali się na przedawnienie. Obie te instancye orzekły, iż prawo z 1865 r. uznaje wszelkie akta po r. 1865 sporządzone za nieważne i w myśl tego tłomaczenia bezwzględnego darowiznę unieważniły. Proces oparł się o senat. Tu z ramienia władzy administracyjnej stawał urzędnik do szczególnych poruczeń kancelaryi general-gubernatora, Rafalski, w imieniu zaś pozwanych znany adwokat petersburski, Olszamowski. Pierwszy dowodził, iż „ przedawnienie nie może być stosowane względem aktów wbrew prawu 1865 r. zawieranych dlatego, iż w takim razie wiele umów w okresie 1865—1875 sporządzonych pozostałoby w swojej mocy," obrońca zaś utrzymywał na podstawie przykładów, iż zasada przedawnienia nie może być pogwałcona. Senat rządzący, zgodnie z wnioskiem ober-prokuratora, Frołowa, uchylił wyrok izby sądowej i przekazał sprawę innemu departamentowi tejże izby.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. P. Józefa Rembielińska wystąpiła z podaniem do warszawskiego Towarzystwa dobroczynności o otworzenie przytułku dla kobiet, wychodzących z więzienia, celem umoralniania ich i uczenia pracy zawodowej. Inicyatorka będzie utrzymywała ten zakład kosztem własnym. Na początek 10 pensyonarek znajdzie pomieszczenie.

— Dzienniki syberyjskie i większość petersburskich ujawniły fakt niesłychanego nadużycia w więzieniu minusińskiem na Syberyi: „Dozorca więzienia, Putincew, mniemając iż jest panem w domu kary i gospodarzem z władzą bezwzględną, w nocy z d. 24 na 25 października wtargnął do oddziału aresztantek, w którym przebywało 10 kobiet, skazanych za drobne przewinienia przez sędziów pokoju. Lampa nagle zgasła, P. zaś rzucił się na niewiasty. Powstał hałas i krzyki, lecz pomimo to dozorca zdołał zbezcześcić jedną z kobiet. Wypadek ten nabrał rozgłosu, wskutek czego władze sądowe sporządziły protokół i skierowały sprawę na właściwą drogę." *Peterb. Wied.*, które przytoczyły powyższą relacyę, dodały: „Z powodu zamieszczonej przez nas notatki o nadużyciu w więzieniu minusińskiem, otrzymujemy wiadomość, iż p. minister sprawiedliwości zażądał w tej sprawie surowego śledztwa."

— Z Gracu donoszą, że demonstracye niemieckie w kawiarniach i na ulicach zwracają się przeciwko Polakom, zwłaszcza licznym tam studentom polskim. Właściciele kawiarń i restauracyj przylepiają napisy wzywające, aby nie rozmawiać po polsku rozporządzenie to tłomaczą obawą o całość szyb i mebli. Właściciele domów wypowiadają mieszkania lokatorom Polakom.

Szkoły. Podług obliczenia *Warsz. Dniewn.*, w ogólnej liczbie 1,396 studentów, którzy się zapisali w r. b. do uniwersytetu warszawskiego jest 72 pochodzących z gubernij wewnętrznych, takich zaś, którzy przeszli do uniwersytetu z prawosławnych seminaryów duchownych, jest ośmiu: 4 na wydziale filologicznym, 3 na fizyczno-matematycznym i 1 na lekarskim.

— Tegoroczny zjazd górniczy Rosyi południowej wyznaczył 100,000 rs. na założenie w Jekaterynosławiu instytutu górniczego.

— W ministeryum oświaty powstała komisya do spraw średniego szkolnictwa technicznego. Celem jej będzie opracowanie planu przekształcenia szkół technicznych średnich na takie, którebv dostarczały techników, jako pomocników dyrektorów i samoistnych kierowników zakładów przemysłowych. Komisya opracuje warunki przyjęcia kandydatów z pośród uczniów szkół realnych i innych do nowych i warunki opłat szkolnych, które mają być dostępne dla ogółu szerszego.

Sądy. *Warsz. Gub. Wied.* piszą: „Z zarządu warszawskiego okręgu komunikacyj usunięto ze służby nadzorcę spławu Wisła-Niemen, Michała Iljina, wyrokiem sądu okręgowego łomżyńskiego, zatwierdzonym przez Izbę sądową warszawską, skazanego z mocy § 373 kod. kar. na więzienie poprawcze (5 miesięcy i 10 dni), z pozbawieniem wszystkich praw szczególnych i przywilejów, a po odsiedzeniu kary na dozór policyjny w przeciągu lat czterech."

Telefony. Przy aparatach telefonowych departamentu poczt i telegrafów, w niektórych miastach Cesarstwa zaprowadzono najnowsze ulepszenia, polegające na wskazywaniu numeru aparatu, z którym nastąpiło połączenie. W ten sposób osoba wezwana odrazu może poznać, z kim rozmawia, a w razie nieobecności może się dowiedzieć, kto pragnął mówić.

Koleje i komunikacye. Dyrektor kolei Nadwiślańskiej, p. Daragan, opuszcza dotychczasowe stanowisko, które zajmie p. Kajanus, obecny dyrektor kolei Terespolskiej.

Wystawy i zjazdy. W lutym albo marcu r. p. odbędzie się w Moskwie zjazd przedstawicieli stowarzyszeń drobnego kredytu. Zwołuje go miejscowe Towarzystwo rolnicze.

Zdrowie publiczne. Ministeryum spraw wewnętrznych urządzi lecznice specyalne dla przestępców chorych na umyśle.

Muzyka. D. 22 b. m. warszawskie Towarzystwo muzyczne urządza koncert ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza. Udział wezmą wyłącznie siły miejscowe. Program składać się będzie z utworów wokalnych (słowa Adama Mickiewicza) i z deklamacyi poezyj wieszcza.

Zmarli. August Wennecke, słynny astronom, zmarł w Bonn. W r. 1857 petersburska Akademia umiejętności powołała go na wicedyrektora obserwatoryum astronomicznego w Pulkowie; 1866 r. ustąpił z tego stanowiska. W r. 1872 zajął katedrę astronomii w nowootworzonym uniwersytecie strasburskim.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. J. Nie zużytkujemy.

Przyjacielowi idei. Odpowiadamy Panu dziś dopiero dlatego, że musieliśmy zasięgnąć rady specyalistów w tym przedmiocie. Wszyscy oni zgodzili się na to, że zamiar Pański nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla zdrowia, każdy jednak zaznaczył, że mógłby dać radę stanowczą tylko wtedy, gdyby znał szczegóły organizmu i warunki życia. To też sądzimy, że najwłaściwszą i najpewniejszą drogą byłoby zwrócenie się osobiste do poważnego i sumiennego lekarza.

K. Może Pan otrzymać objaśnienia tylko od kogoś w Ekaterynosławiu. Bo skądże my tu wiedzieć możemy o tamtejszych szkołach. Ażeby tam istniała szkoła inżenierów — nie słyszeliśmy.

WYDAWNICTWO

Hipolita Wawelberga i Stanisława Rotwanda

Pisma Bolesława Prusa

(Aleksandra Głowackiego)

opuściły prasę w taniem jubileuszowem wydaniu.

Cena 4 tomów broszurowanych rs. 1 kop. 40, w oprawie rs. 2.

Skład główny u Gebethnera i Wolffa.

GAZETA POLSKA

największy dziennik polski

wychodzi w Warszawie

przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich.

GAZETA POLSKA stoi na straży **najżywotniejszych interesów i potrzeb** społeczeństwa.

Artykuły polityczne, **korespondencye zagraniczne** i bogaty dział **telegramów** dają czytelnikom GAZETY POLSKIEJ codziennie dokładny obraz zdarzeń na niwie polityki międzynarodowej. Sprawom wewnętrznym kraju naszego poświęca GAZETA POLSKA cały szereg rubryk specyalnych, jak: „**Z chwili bieżącej**," „**Mozaika**," „**Nasze potrzeby**," „**Na marginesie**," w których notuje skrzętnie wszystko, co dla dobra ogólnego robić należy, gdzie rozbierane są zdania swoich i obcych o nas, poddawane krytyce poglądy i czyny, które się wiążą z życiem naszego narodu.

Do tej samej kategoryi artykułów należą „**Listy ze wsi**," w których barwnem piórem kreślone są stosunki nasze prowincyonalne i analizowane nasze palące potrzeby społeczne. Jednocześnie też drukuje GAZETA POLSKA **artykuły literackie, naukowe, artystyczne**, we wszystkich kierunkach obrazujące ruch myśli i twórczości współczesnej.

Nadto podaje GAZETA POLSKA wszelkie **informacye bieżące** z zakresu ruchu handlowego w tem **ceny zboża** na rynkach krajowych i zagranicznych, jako też z zakresu **życia towarzyskiego** i **sportowego**.

W fejletonie powieściowym: **utwory oryginalne** pisarzy polskich; w dodatku powieściowym: **przekłady najlepszych powieści** zagranicznych.

CENA „GAZETY POLSKIEJ":

W Warszawie: rocznie rs. 9.60, półrocznie rs. 4.80, kwartalnie rs. 2.40, miesięcznie kop. 80, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową: rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.

Adres „**Gazety Polskiej**": **Warszawa, Warecka nr. 14.**

Agentura „Gaz. Polsk." w Łodzi w Księgarni G. Schatkego ul. Piotrkowska.

Zaleca się umieszczanie ogłoszeń w „**Gaz. Polskiej**" ze względu na jej poczytność.

Od d. 1-go listopada 1897 r. wychodzi w Warszawie

Przegląd Filozoficzny

pismo mające na celu: 1) Dać ogółowi inteligentnemu poważną lekturę, oraz zawiadamiać go o ruchu filozoficzno-naukowym w kraju i za granicą. 2) Zachęcić młode siły do badań filozoficzno-naukowych. 3) Zachęcić specyalistów do uwzględniania zasadniczych teoretycznych podstaw ich specyalności. 4) Przyczynić się do skupienia sił naukowych.

Treść pisma stanowić będą: Artykuły oryginalne z psychologii, teoryi poznania, logiki, metodologii, etyki, estetyki, socyologii, historyi filozofii, oraz ze wszystkich nauk specyalnych, o ile w nich będzie się ujawniał pierwiastek filozoficzny. Jednem z głównych zadań PRZEGLĄDU FILOZOFICZNEGO będzie roztrząsanie kwestyj, wywołanych życiem praktycznem, o ile te kwestye znajdą się w ściślejszym związku z zagadnieniami filozofii. Dział sprawozdawczy, obejmujący cały ruch filozoficzno-naukowy z wyżej wymienionych dziedzin umysłowości ludzkiej i zawierający: **Krytykę i Sprawozdania rzeczowe, Przegląd czasopism, Wiadomości bieżące, Notatki filozoficzne, Bibliografię**

Nadesłali prace lub przyrzekli już swoje współpracownictwo: Edward Abramowski, Karol Appel, dr. Wł. Biegański, prof. dr. Baudouin de Courtenay, prof. dr. P. Chmielowski, J. W. Dawid, Samuel Dickstein, dr. K. Górski, Wł. Gosiewski, prof. dr. L. Gumplowicz, dr. Wł. Heinrich, N. Hirszband, Zyg. Heryng, dr. H. Hoyer, dr. B Epstein, dr. M. Flaum, dr Jan Karłowicz, St. Karpowicz, prof. dr. J. Kowalski, T. Korzon, Wł. M. Kozłowski, Władysław Kozłowski (Lwów), S. Kramsztyk, A. Krasnowolski, L. Krzywicki, F. Łagowski, J. Lorentowicz, A. Mahrburg, dr. L. Marchlewski, dr. M. Massonius, pr. dr. T. Masaryk, prof. dr. W. Natanson, dr. J. Ochorowicz, dr. W. Olechnowicz, dr. W. Ołtuszewski, S. Posner, J. K. Potocki, Z. Przesmycki, L. Przysiecki, dr. R. Radziwiłłowicz, prof. dr. L. Stein, dr. H. Struve, dr. Al. Świętochowski, pr dr. K. Twardowski, F. Wermiński, Wł. Weryho, dr. A. Złotnicki

PRZEGLĄD FILOZOFICZNY wychodzić będzie co kwartał, obejmując od 8 do 10 arkuszy druku.

Warunki prenumeraty: w Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2 — z przesyłką pocztową: rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 k. 60.

Prenumeratorzy roczni otrzymają jako dodatek bezpłatny dwa odczyty Emila du Bois Reymonda p. t. „O granicach poznania natury" i „Siedem zagadek wszechświatowych" w tłomaczeniu i ze wstępem dr. M. Massoniusa.

Redaktor i Wydawca ***Dr. Władysław Weryho,***
Warszawa, Krucza 46.

„KURYER CODZIENNY"

zaznajamia swoich Czytelników z najważniejszymi wypadkami chwili, nietylko drukowanem słowem, ale i zobrazowaniem jej w rycinach. Jest względnie do obfitości materyału

najtańszem pismem warszawskiem.

„**KURYER CODZIENNY**," zaprosiwszy do współpracownictwa najwybitniejsze siły literackie i dziennikarskie, dostarcza swym czytelnikom miejscowym i prowincyonalnym świeżej i zajmującej lektury, znacznie rozszerzył dział telegramów. Pomieszcza, jak i dawniej, ulubione przez czytelników kroniki **Bolesława Prusa**.

„**KURYER CODZIENNY**" będzie drukował wielce zajmującą powieść Emmy Jeleńskiej p. t.

„PANIENKA,"

która otrzymała na konkursie pierwszą nagrodę w kwocie rs 1,000, a następnie drukować będzie niektóre z pośród wyróżnionych na tymże konkursie.

W dodatku książkowym po ukończeniu obecnie drukującej się, „Kuryer" drukować będzie głośną i bardzo interesującą, sensacyjną powieść znanego autora francuskiego Ksawerego Montepina p. t.

„KWIACIARKA."

Wszyscy prenumeratorowie „**Kuryera Codziennego**" otrzyma w roku 1898 premium bezpłatne

Poezye Adama Mickiewicza w 4-ch tomach.

Warunki prenumeraty „**KURYERA CODZIENNEGO**": w Warszawie: miesięcznie kop. 50, kwartalnie rs. 1 kop 50, półrocznie rs. 3, rocznie rs. 6. Na prowincyi: miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop 50, rocznie rs. 9

Wobec wzrastającej poczytności, niewątpliwa korzyść z ogłoszeń w „Kuryerze."

Adres redakcyi i administracyi: **Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 17, Telefonu Nr. 413.** Agentura Łódzka: **Piotrkowska Nr. 46 w Łodzi.**

Redaktor **Stanisław Libicki.** Wydawcy: **Gebethner i Wolff.**

Księgarnia GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie, poleca do nauki

JĘZYKÓW OBCYCH:

H. Bergera najnowsze łatwe metody gruntownego nauczenia się w krótkim czasie, z pomocą lub bez pomocy nauczyciela, języków:

Angielskiego (z kluczem) nowe wydanie rs. 1.50, w opr. płóciennej rs. 1.80.

Francuskiego (z kluczem) rs. 1.— w opr. płóciennej rs. 1.30.

Niemieckiego (z kluczem) rs. 1.— w opr. płóciennej rs. 1.30.

Przesyłka pocztowa po kop. 20.

Słownik Francusko-Polski i Polsko-Francuski t. zw. emigracyjny, ułożony przez Kazimirskiego i Rupelowskiego, najlepszy i najobszerniejszy z istniejących.—Cena rs. 6, w oprawie w półskórek rs. 7.

Oddzielne części:
POLSKO-Francuska rs. 5, w opr. rs. 5.70.
FRANCUSKO-Polska rs. 2, w opr. rs. 2.60.

Słownik Polsko-Niemiecki i Niemiecko-Polski do użytku prywatnego, w kantorach i szkołach, opracował Piotr Parylak, c.-k. prof. gimnazyalny. — W oprawie rs. 1.20.

Krakowski Nikodem. Wykład teoretyczny i praktyczny **Korespondencyi Handlowej**. *Dzieło uwieńczone na konkursie, ogłoszonym przez Szkołę Handlową prywatną w Warszawie.* Praca ta—w rosyjskim przekładzie—uzyskała aprobatę Ministeryum Oświecenia i zaliczoną została do podręczników szkolnych. Wydanie 3-e, przejrzane i popr. rs 1.50.

Chwat Gustaw. Wykład popularny **Buchhalteryi Podwójnej.** Wydanie 2 e, przejrzane i poprawione rs 1.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Prenumeratę na wszystkie pisma krajowe i zagraniczne przyjmuje księgarnia

W. MAKOWSKIEGO

w Wilnie.

Wielki wybór książek dziecinnych na gwiazdkę.

Ceny katalogowe.

Nakładem **P. v. Reussnera** wyszło z druku nowe dzieło ilustrowane p. t.:

Petöfi Aleksander, król poetów węgierskich w życiu i poezyi.

Petöfi Aleksander

to węgierski Homer, węgierski Beranger, węgierski Schiller, węgierski Mickiewicz, nieśmiertelny wieszcz, bożyszcz narodu węgierskiego — to potęga, książę, król poetów madiarskich, którego pieśni oczarowały nietylko cały naród węgierski, ale cały świat cywilizowany i pozostaną wiecznym pomnikiem dla Węgier.

Cena 70 kop. (pocztą 85 k.), w ozdobnej oprawie 1 rs. 20 k. (pocztą 1 rs. 40 k.).

Skład główny u autora-wydawcy (Reussner) przy ul. Złotej № 6, w Warszawie. Do nabycia jest we wszystkich księgarniach.

Spółka Nakładowa poleca:

Przygodę Jasia,

opowiadanie dla dzieci

z rysunkami *Antoniego Kamieńskiego.* przez ***Elizę Orzeszkową.***

W ozdobnej oprawie cena kop. 50, na przesyłkę k. 14.

Do nabycia w administracyi Prawdy i we wszystkich księgarniach.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 28 Ноября 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.